Nr. 95. Lwów — Czwartek dnia 26 Kwietnia. **Rok 1894**

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi: Miesięcznie złr. 1·10 | Półrocznie [illegible] Kwartalnie „ 3·— | Rocznie [illegible] Na mniejsze adresowe opłaca się po 5 ct.
Prenumeratę należy przesyłać [illegible]. Po przesyłanej w kopertach pieczętowanych należy dodawać 5 ct.

Dziś: św. Kleta i Mar. | Czetwer wel. — Jutro: św. Peregryna | Piatn. wełyka | Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45. | Naczelny Redaktor i Wydawca: **Ludwik Masłowski.** | Wschód słońca g. 4 m. 57, Zachód „ „ 6 „ 59 | Długość dnia g. 14 m. 02, Przybyło dnia od wczoraj 5 m.

Do pp. Prenumeratorów zamiejscowych.

Kto nie chce się narazić na przerwę w otrzymywaniu naszego pisma, ten raczy nadesłać prenumeratę przed 1szym.

Prenumerata miesięczna kosztuje 1·10 a nie 1 złr. — To też kto przyśle tylko 1 złr., temu pieniądze będą zwrócone.

Administracya „Przeglądu“.

Przegląd polityczny.

Lwów 25 kwietnia.

Wiek nasz nazwano wiekiem pary, elektryczności, olbrzymiego postępu — i to wszystko zupełnie słusznie, lecz równie dobrze możnaby go nazwać wiekiem samolubstwa. Nad kolebką jego, niby gwiazda, która miała mu przewodniczyć, zaświeciła nowa idea „praw człowieka“, zrodzona raczej z egoizmu, niż z miłości bliźniego. I ta idea wycisnęła na nim swe piętno, które z czasem stało się brzydkie, bo wszyscy, myśląc wciąż tylko o swych prawach, zaczęli je coraz bardziej przesadzać, przekształcać w wybujałe pretensye, a równocześnie zapominali o powinnościach i bardzo skwapliwie ujmowali sobie obowiązków. Zmieniło się nawet samo pojęcie o prawach człowieka, bo już zaczęto je rozumieć nie jako coś twardo zapracowanego, lecz jakby jakąś istniejącą [illegible], jak prawa fizyczne, albo chemiczne. Razem z taką przemianą pojęcia o prawach człowieka zmienił się sposób ich dochodzenia. Każdy, komu się zdawało, że mu ich brakuje, nie wysilał swych zdolności i inteligencyi, aby lukę zapełnić, nie patrzał w głąb siebie, aby się przekonać, azali sam nie jest winien i czy nie za wiele folguje swym namiętnościom, lecz napierw wołał, że mu krzywda się dzieje, [illegible] tak głośna i ciągła, jak gdyby naprawdę świat ten się zmienił w otchłań nieprawości. Krzyczących nieprzebrane tłumy, a ich przewodnicy równie są [illegible] w doborze środków. Więc nic dziwnego, że społeczeństwa [illegible], chociaż rozumieją, że ku zgubie [illegible] powszechne prowadzi ta droga.

Właśnie teraz w Szwajcaryi przygotowuje się naród do wypowiedzenia swego zdania przez powszechne głosowanie, czyli przez „referendum“, o żądaniu socyalistów, aby do konstytucyi krajowej wprowadzono zasadę tej treści: „Każdy obywatel szwajcarski ma prawo do pracy, co ustawa bliżej określi“. Motywa wniosku i jego szczegóły, ujęte w paragrafy, wyjaśniają jak należy rozumieć to „prawo do pracy“. Naturalnie, nie oznacza to, że każdemu wolno pracować, ile zechce, bo takie prawo od stworzenia świata istnieje. Idzie tu o włożenie na państwo, więc na ogół obywateli, obowiązku dostarczania każdemu człowiekowi odpowiedniego dlań zajęcia i zapłaty takiej, jaką on, stosownie do swych nawyknień, mieć musi. Jest to prostu dążność do opodatkowania ludzi pracowitych i rządnych a przezornych na rzecz tych, którzy nie chcieli wyrobić sobie stanowiska, albo nie zasłużyli na nie. Jest to dążność do wykonywania kosztem ogółu robót i przedsięwzięć wcale krajowi, czy gminom niepotrzebnych i to nie w czasach głodu, powodzi, wyjątkowego bezrobocia, ale zawsze, przy stosunkach zupełnie normalnych. Jest to wreszcie środek, który doprowadzi do tego, że skarb społeczny będzie karmił różnych niedołęgów, próżniaków, lub dobrowolnie wykolejonych nieponiów, i to będzie karmił nie byle jak, ale smaczno, bo projekt do tego prawa orzeka, iż „praca dostarczona przez kraj, powinna odpowiadać usposobieniom i zdolnościom pracowników, a zapłata musi być zastosowana do ich położenia towarzyskiego“. Więc każdy lichy rzemieślnik, każdy niedołężny literat, każdy, komu się uroi, że jest artystą, każdy robotnik, który pod wpływem politycznych agitatorów zaniecha pracy, a potem miejsce swe znajdzie zajętem, będzie miał prawo zwrócić się do kraju, czy do gminy, jako do rogu obfitości, napełnionego trudem, oszczędnością i energią pracowitych obywateli. Zgodnie z projektem o tem oryginalnie pojętem prawie do pracy, powstaną w całej Szwajcaryi osobne biura państwowe, które każdemu, kto się do nich zgłosi, będą obowiązane natychmiast dostarczyć pracy i zarobku nie takiego jak praca, ale jak towarzyskie położenie pracownika. Choćby ów pracownik codzień rzucał dane mu zajęcie, biuro państwowe codzień musi mu postarać się o nowe. Takie urządzenie może doprowadzić do [illegible], doprowadzi zaś koniecznie do rozbicia społeczeństwa, bo któż w niem zechce usilnie pracować, zabiegać, myśleć o jutrze, skoro zawsze państwo mu wszystkiego dostarczy?

Szwajcarya posiada dwie prawodawcze instytucye: Radę związkową, która jest zarazem władzą administracyjną, i Zgromadzenie narodowe, czyli po naszemu sejm. Posiada także nieznaną gdzieindziej prawodawczą mechanikę, zwaną „referendum“. [illegible] przyjdzie do głowy, jeśli na swój pomysł znajdzie pewną liczbę obywatelskich podpisów, już może być pewnym, że jego ideą [illegible] Rada związkowa, potem Zgromadzenie narodowe, w końcu [illegible] szwajcarskich aż do ostatniego człowieka. Głosowanie tego ludu w takim wypadku nazywa się „referendum“. Otóż socyaliści, których w Szwajcaryi [illegible], zebrali potrzebną liczbę podpisów na swój projekt o „prawie do pracy“. Musiała tedy Rada związkowa zająć się tym pomysłem i znalazła go niedorzecznym, to samo następnie zrobiło Zgromadzenie narodowe, ale [illegible] „referendum“. Rada i Zgromadzenie narodowe uchwaliły [illegible] lecz zarazem zalecili mu odrzucenie tego projektu. Ale socyaliści nie zasypiają sprawy; rozwinęli nadzwyczajną agitacyę, [illegible] i zapewniają, że jeśli nie teraz, to niezbyt później z pewnością zwyciężą.

Stać się to rzeczywiście może, chociaż pewnie nie teraz. A jeśli się stanie, to świat [illegible] że to już było. Wielka grecka starożytność znała „pritaneion“, [illegible] zasłużonych starców, utrzymywanych kosztem społeczeństwa; znały i wszystkie późniejsze wieki takie instytucye, [illegible], ale nie pomyślano o ustawie, któraby zmuszała [illegible] z próżniakami. Taka potworność mogła się zrodzić tylko w tej epoce, w której prawa człowieka [illegible] nad obowiązkami.

[illegible] telegram donosił o [illegible] robotników [illegible] do Waszyngtonu, [illegible] stanąć w pierwszy dzień maja i tu od senatu zażądać, aby przeznaczył miliard dolarów na roboty publiczne, przy których znaleźliby zatrudnienie robotnicy, niemający zajęcia, nadto zaś, aby uchwalił, że odtąd nie będą płacone procenta od państwowego długu, lecz cały fundusz, przeznaczony na te procenta, będzie rozdawany ubogim. — Ten ruch robotników bez zajęcia jest kolosalny. Z najdalszych kresów wielkiej republiki, z Kalifornii, Nebraski, Luiziany, pieszo ciągną się tłumy, do których po drodze przystają wciąż nowe zastępy i tak każda mała z początku gromada rośnie w ogromną armię. Ameryka północna zdawna zna takie tłumne wędrówki robotników bez zajęcia i nazywa to zjawisko „tramps“, a do wybryków, których się dopuszczają te tłumy już się przyzwyczaiła. Jedni im się opłacają, inni padają ofiarą rabunku, a są i tacy milionowi fabrykanci, którzy najmują do swej obrony od tej szarańczy zbrojne oddziały, formowane przez prywatnych przedsiębiorców. Teraźniejszy jednak „tramps“ jest tak olbrzymi, że dotychczas nikt nie poważył się stawić mu czoła. Małe miasteczka, wsie, fermy są plądrowane, miasta średniej wielkości witają zbliżający się „tramps“ chlebem i solą, zaopatrują go w żywność i odsyłają dalej, a miasta duże rozdają pieniądze własnym niezatrudnionym robotnikom i wysyłają ich do „trampsu“. Dotychczas utworzyły się z tych tłumów trzy olbrzymie bandy, z których największa wyszła z Kalifornii, liczy już kilkadziesiąt tysięcy ludzi i sama się nazywa „wielką armią Chrystusa“. Na czele jej stoją dwaj „jenerałowie“, którzy codzień wygłaszają kazania o tem, że Chrystus wrócił na ziemię i zewsząd zwołuje ubogich, aby się zebrali na sąd nad bogaczami. Jenerałem naczelnym i twórcą całego ruchu jest jakiś Coxey, widocznie tęgi do „businessu“, bo się wykierował na proroka, opływającego w dostatki. Ciekawe, prawdziwie amerykańskie jest to, że liczni politycy Stanów Zjednoczonych głoszą, iż właściwie nie ma prawa wystąpić przeciw owym trampsom i rozpędzić ich zbrojną siłą, albowiem konstytucya pozwala zgromadzać się i odbywać takie wędrówki. Nawet w senacie znaleźli się obrońcy tej wolności podobnych pochodów. Jednakże Stan Columbia, do którego należy Waszyngton, zwołał milicyę, rozłożył ją obozem pod miastem i zaopatrzył w bojową amunicyę, ale zarządzenia te umotywować [illegible] milicya [illegible] ćwiczenia, przeto straciła sprawę w wojennem rzemiośle i nabyć jej powinna. Rząd centralny mógł tylko zwiększyć policyę waszyngtońską [illegible].

W dniu wczorajszym minęło czterdzieści lat od chwili, gdy na tronie austryackim obok Cesarza Franciszka Józefa, najdobrotliwszego z monarchów, zasiadła dostojna Jego małżonka Cesarzowa Elżbieta. Radośną tę rocznicę święcą wszystkie ludy poddane berłu Cesarza Austryi, święcą szczerze, bo Monarchę naszego otacza powszechna miłość; wszystkie bowiem wiedzą dobrze, że nie jeno dynastyczne względy, lecz pomyślność i dobro ludów Monarchii kieruje wszystkiemi Jego krokami, że zawsze pierwszą jego myślą jest szczęście jego poddanych. Wśród wszystkich ludów podległych berłu Austryi, my, Polacy, przedewszystkiem radośnie święcimy każdą uroczystość domową Cesarza Franciszka Józefa I. Pozbawieni niepodległości, prześladowani, uciskani, dopiero odetchnęliśmy swobodnie pod Jego berłem; On nam pozwolił być i czuć się Polakami, dzięki Jemu rozwijamy się i żywotnością swoją protestujemy przeciwko całemu światu, który chciał słowo Polak i Polska wymazać ze spisu ludów i krajów. Jemu tylko zawdzięczamy, że dziś język nasz, nasza literatura, w Galicyi swobodnie się rozwijają, że nasz przemysł i handel coraz większe zyskuje podstawy i że dziś w Austryi Polacy poważne zajmują stanowiska i należą do czynników, z którymi liczyć się muszą przedewszystkiem te narody, które po rozbiorze Ojczyzny naszej zanuciły hymn radosny nad naszą zgubą. Pamiętne jeszcze wszystkim są życzliwe słowa Monarchy wypowiedziane do naszych najwyższych dygnitarzy w Jarosławiu, słowa, które radością i otuchą w lepszą przyszłość napełnić musiały każde polskie serce. W roku bieżącym Monarcha daje nam nowy dowód swej łaski. Oto wystawie naszej Monarcha ten użyczył swego protektoratu i przyrzekł na nią przybyć i pracy się naszej przypatrzeć. Więc wdzięczni mu za dobrodziejstwa, które ze szlachetnej Jego dłoni na nasz kraj spłynęły, za tę miłość serdeczną i opiekę, którą nas otacza, bierzemy serdeczny udział w tej Jego domowej uroczystości i łącząc się z innymi ludami, podległymi Jego berłu, zanosimy korne modły do stóp Pana Zastępów, aby w jak najdłuższe lata zachował nam najłaskawszego Monarchę i Jego małżonkę w szczęściu, chwale i potędze.

KORESPONDENCYE.

Paryż 17 kwietnia.

Położenie rolników francuskich z każdym rokiem jest gorsze. W przeszłym roku posucha zniszczyła wszystkie ich plony, a i w tym roku ta sama klęska im grozi. Rozmaite stowarzyszenia naukowe zajmują się gorliwie podniesieniem rolnictwa, odbywają narady, rozpisują konkursy, wszystko jednak kończy się na uchwałach mających teoretyczną wartość, a stan rolniczy tymczasem coraz bardziej ubożeje. Kilka dni temu na kongresie towarzystw naukowych w Sorbonie głośny statystyk Levasseur zdawał sprawę ze spostrzeżeń swoich porobionych podczas zeszłorocznej podróży po Stanach zjednoczonych, dokąd go wysłał rząd z poleceniem zbadania stanu i warunków rolnictwa w tamtych krajach. Otóż według badań znakomitego statystyka, zbiory pszenicy i kukurudzy w Stanach Zjednoczonych zdwoiły się od czasu wojny domowej; zaś zbiory owsa i siana są dziś dwa i pół razy większe. Dwakroć też liczniejszym jest dziś i inwentarz żywy, stada bydła rogatego i koni, a ilość nierogacizny i owiec z dwudziestu pięciu milionów sztuk około r. 1870 do czterdziestu siedmiu milionów urosła. Wydajność pszenicy, jedenaście hektolitrów z hektara, nie dorównywa wprawdzie francuskiej, półszesnasta hektolitrów wynoszącej, ale że przestrzeń gruntów pod pszenicą jest w krajach Unii piętnaście razy większą niż we Francyi, więc ogół produkcyi zawsze jeszcze w dziesięćkroć francuską przewyższa. Wartość sprzętów i narzędzi rolniczych szacowaną jest w Ameryce Północnej na 275 franków na hektarze; we Francyi ceni się ona na 1.860 fr., a zatem siedem razy drożej. Wielokrotnie więc większe mając zbiory, rolnicy zaatlantyccy mają do pokrywania na hektarze procent od kapitału 275 fr., francuscy zaś od 1.860 fr. Porównanie między temi dwiema cyframi tłomaczy jak najjaśniej, dlaczego uprawa roli w Stanach Zjednoczonych wzbogaca posiadaczy i pracowników, a we Francyi do ubóstwa ich przywodzi. P. Levasseur przepowiada jednak, że nadejdą złe czasy i dla amerykańskiego rolnictwa. Cena hektolitra z siedemnastu franków w roku 1880 zeszła dziś, mianowicie w marcu roku bieżącego, na 8.55 franków. Gospodarze w Stanach wschodnich, nadatlantyckich, uskarżają się na współzawodnictwo Stanów środkowych i zachodnich; zmuszeni oni zostali do zaniechania uprawy zbożowej, która się już nie opłaca, a rzucili się natomiast do produkcyi nabiału i warzyw. Ale rolnicy Stanów środkowych i zachodnich żalą się znów na współzawodnictwo Indyi Wschodnich, które coraz to zbijają cenę ziarna; więc też agronomowie amerykanscy zaczynają doradzać ograniczenie i zarazem urozmaicenie jego uprawy. Można więc dziś już przewidywać uszczuplenie produkcyi zbożowej zaatlantyckiej. Ale straszniejszą jeszcze od niej może być obfitość zbiorów w Indyach Wschodnich, gdy te niezmierne kraje udoskonalą swoję uprawę i zaopatrzą się w dostateczną komunikacyę kolejową. Wtedy to nadejść może zagłada przemysłu rolnego tak w Europie, jak i w Ameryce; chyba że się wysokiemi cłami protekcyjnemi ratować zdołają; wtedy daleki Wschód, żywiąc resztę świata, zbogaci się w niebywałej mierze i do niewidzianej wzbije się potęgi.

Głośny humorysta amerykański Mark Twain bawił tu niedawno i dał Paryżanom poznać rodzaj swego dowcipu i werwy, bawiąc w dwugodzinnej konferencyi słuchaczy, zachwyconych, że dano im rzadką sposobność śmiania się przez dwie godziny szczerze i bez przerwy. Razu pewnego zapytał go tu ktoś, czy nie chciałby być milionerem? — To nie takie zabawne — odparł — jak ludzie przypuszczają. Łatwo obliczyć, że mając n. p. milion dolarów majątku, miałoby się do wydania około 10 fr. na godzinę. Otóż próbowałem robić to przez kilka godzin z rzędu i wynudziłem się obrzydliwie.

Okiem daleko sięgająca w przyszłość administracya francuska zrozumiała to wpierw jeszcze, nim Twain tak pięknie myśl tę sformułował i pomyślała w duchu: nędza przyurą jest rzeczą: czyż wolno nam do innych strapień dodawać nędzarzom francuskim i kłopot łamania sobie głowy, jak wydawać 6000 fr. na godzinę? Przenigdy.

Tak bowiem przedstawia się budżet tutejszych nędzarzy, nie wliczając dobroczynności prywatnej, ani majątków ich osobistych, które, jak wiadomo, także przedstawiają się pokaźnie, skoro częstym we Francyi jest wypadek, że u żebraków znajdują spadkobiercy po kilkadziesiąt tysięcy franków zaszytych w sienniku. Na razie posiadają nędzarze francuscy do spółki z górą miliard franków. Opierając się na „Statistique générale de la France“ dowodzi p. Armand Brette w świeżo ogłoszonej broszurze, że szpitale francuskie i biura dobroczynności mają rocznego dochodu 55 milionów, że zaś w takim razie na godzinę tak dnia jak nocy wypada po 6000 franków poucza matematyka. Szkoda, że p. Brette nie objaśnia, ilu jest we Francyi biedaków, potrzebujących wsparcia, aby można wiedzieć dokładnie, ile z tych milionów wypada na głowę; skutkiem tego braku nie można ubrać w cyfry znanego pewnika, że mniej tu stosunkowo biedaków, niż gdzieindziej, bo olbrzymie bogactwo Francyi rozdrobnione jest bardzo i przesiąka w najniższe warstwy. Ale z broszury owej dowiadujemy się innej rzeczy ciekawej, która przypomina odezwanie się Twaine'a. Funduszami powyższymi zarządzają gminne biura dobroczynności i obchodzą się z niemi, jak z pieniędzmi obchodzi się każdy Francuz: kto ma ogniotrwałą kasę zamyka pod klucz najmniej połowę „swojego dochodu“, inny deponuje ją w banku, inny wreszcie zaszywa w sienniku. Biura te, jak się pokazuje, połowy owych milionów nie wydają na wspomaganie biednych, zakupują natomiast w wielkich ilościach 3-proc. rentę. W roku ubiegłym oszczędziły ze stałych dochodów (na które się składają procenta od kapitałów, zapomogi państwowe i gminne, oraz należytości pobierane od obrotów totalizatorowych, biletów teatralnych, koncertowych i t. p.) piękną sumkę 27,530.000 franków i dołączyły ją do swych kapitałów.

Jeśli dalej tak pójdzie i pasya ta kapitalizowania na żadną państwową nie natrafi przeszkodę, nędzarze powinni być z czasem najbogatszymi ludźmi we Francyi. Proszę tylko pomyśleć, mają już przeszło miliard i kapitalizują przeważną część dochodów. Jeśli jeszcze przyjętym będzie wniesiony przez p. Cavaignaca projekt podatku progresyjnego, to zdaje się, że najpiękniejsze widoki na przyszłość przedstawiać tu będzie karyera żebraka. Ostrożnym tylko być należy w wyborze departamentu, bo nie we wszystkich równie przyjemnie oczekiwać można nadejścia złotej ery, kiedy biura dobroczynności więcej posiadać będą milionów, niż Francya ubogich. Komu sama nadzieja szczęścia nie wystarcza i lubi także zjeść coś od czasu do czasu, niech osiada raczej w Lozère, gdzie przeciętnie 87 fr. rocznie dają każdemu ubogiemu, a starannie unika uroczej Riviery, gdzie biura dobroczynności kapitalizują pilnie, ale każdemu biedakowi przychodzą z pomocą w kwocie 35 ct. przeciętnie na rok, co, jak każdy bezstronny przyzna, tylko w takim razie wystarczyć może na skromne życie, jeśli ktoś z powodzeniem operuje przytem w Monte-Carlo.

W Girondzie widoki są bardzo piękne — na przyszłość, bo za $5^{1}/_{2}$ milj. fr. rocznie zakupuje tam fundusz ubogich renty, a kwotą 600.000 fr. opędza tymczasem potrzeby przyszłych milionerów. Jak trzeba się namyśleć przy wyborze miejsca zamieszkania, poucza fakt, że na 35.300 gmin francuskich tylko w 15.307 istnieją biura dobroczynności i tam tylko osiadłszy, korzystać można z owych 55 milj. dochodu. 20.000 gmin nietylko żadnej nie zorganizowało opieki nad ubogimi, ale zamieszkujący je biedacy, jeśli tylko jako tako oryentują się w położeniu we francuskiem ustawodawstwie, umierać powinni pospiesznie z głodu, bo jest to jedyna dla nich droga wyjścia, wobec obowiązującej dotychczas ustawy z dnia 24 vendemaira r. IV, która kary wyznacza nietylko na żebraków, ale i na miło-

---

26)

SWAT

Powieść współczesna

przez

Wincentego hr. Łosia.

(Ciąg dalszy).

Hrabiemu, który może setce ślubów asystował i na którym sprawiły one to samo wrażenie, co nudne obiady, gorąco zrobiło się w oczach. Poszedł do pani Bolskiej i rzekł po cichu:

— Łzy pani padają mi ołowiem na serce.

P. Bolska usiłowała stłumić łkanie.

— Nie wiem... ale nie mogę... Nie wierzę w przeczucia, ale... Ja zawsze byłam silną, tyle przecierpiałam...

Znowu ten sam cicho wymówiony wyraz „przeczucie“ odbił się jakiemś groźnem echem w duszy hrabiego. Zkąd im się wzięły złe przeczucia? Wszak wszystko powiodło się jak najlepiej. Nagle przyszła mu do głowy myśl, że pani Walerya mogłaby się jeszcze, jak widmo, zjawić w kościele. Ale nie, to waryacka obawa; pani Walerya nie odważyłaby się przecież na taki skandal. Widocznie ogólny nastrój uczestników ceremonii oddziaływał drażniąco na jego nerwy.

Zbliżył się do Czapli i zagadnął go, by ochłonąć. Chyba ten musiał zachować zupełną równowagę moralną.

— Ślub na wsi robi poważniejsze wrażenie... — bąknął.

— Ba! — odparł pan Bolesław, — widziałem nawet bardzo wesołe, ale dzisiejszy i mnie bardzo ponuro usposabia... Matka, jak na pogrzebie. Panna młoda...

Urwał i dodał:

— Nie dziwię się. To straszna ceremonia!

Pan Artur odwrócił się od Czapli prawie z furyą. Ale wnet zdołał pohamować się i wtrącił znowu:

— Przyczyną temu ciemność w kościele. Nieslychanie zależymy od światła.

— Zapewne! — mruknął Czapla, — nasze wrażenia trudno przypisać przeczuciu. Tej parze wszystko się uśmiecha.

Hrabia drgnął.

A więc coś tkwiło w powietrzu. Wszyscy, u dyabła! prawili mu o przeczuciach.

Ceremonia się skończyła i pośpiesznie opuszczono kościół.

Pan Artur jechał z Czaplą. Nie wymienił już z nim ani słowa. Noc była jasna, ale, jak w zimie, martwa i smutna. Dokoła panowała cisza. Śnieg tylko skrzypiał pod kopytami koni i kołami karety.

Wkrótce ukazał się dworek Patanowski, połyskując światełkami z niedużych okien.

Hrabia postanowił zaraz po powrocie wychylić całą butelkę szampana.

Zaledwie jednak zrzucił futro, lokaj wręczył mu sto depesz, które według ułożonego programu, pan Artur miał odczytać podczas biesiady. Wyszedł z niemi do pustego pokoju, przepatrywał je przy świetle kandelabru. Wszystkie prawie były do panny Bolskiej z Warszawy, z prowincyi, z dalszych stron. Ale było także kilka i do Ludwika. Ten i ów, uwiadomiony listami *de faire part*, przypominał się to dawnemu znajomemu, to synowi przyjaciela, to koledze, to sąsiadowi, i słał życzenia szczęścia. Jeden był od Jadolińskiej:

„Souhaits de bonheur possible à celle que vous avez choisie“.

Hrabia dwa razy odczytał depeszę. Co miała ona znaczyć? Czyby baronowa już pogodziła się z rzeczywistością? Czyby miała zamiar uważać odtąd Ludwika za sąsiada tylko i tylko dawnego przyjaciela? Czyżby ona, ona... taka tragiczna wtedy, przed gdańską szafą... umiała zapominać i przebaczać, jak to czyni ostatecznie tyle innych kobiet w jej położeniu? Alež jeszcze niedawno temu... Czasu jeszcze nie miała zagoić rany.

Wtem usłyszał szelest w przyległym pokoju, zmiął papier i schował go do kieszeni. Mariola nie wiedziała o istnieniu żadnej pani Waleryi, nie było też potrzeby, aby się o niej dziś dowiedziała.

W salonie nie zabawił długo. Do kolacyi jeszcze miał czas. Ten papier w kieszeni parzył go po prostu. Znów się zbliżył do światła, rozwinął zmięty świstek i zatopił w nim wzrok.

„Souhaits de bonheur possible á celle que vous avez choisie. Valérie“.

Jakże te słowa były dwuznaczne, zwłaszcza w dniu tych zaślubin i w obec powszechnego tu smutku, któremu nawet stary sybaryta oprzeć się nie zdołał.

Ale to wszystko były tylko przywidzenia oczywiście, — powiedział sobie w końcu. Ten telegram, co najwyżej, mógł go razić swoją banalnością, a on w nim chciał koniecznie dopatrzeć się tajemniczego znaczenia. Wino go pokrzepi.

* * *

W kilka godzin później pan Artur odjeżdżał do Warszawy, a państwo młodzi do Czajnik.

Wesoła kolacya rozpogodziła wszystkich. Hrabia już nie miał w kieszeni depeszy; spalił ją. Postanowił w Warszawie użyć kuracyi hydropatycznej, bo w istocie nerwy jego nie były w normalnym i zdrowym stanie. Dobre nerwy nie dają się wyciągać i zwijać, jak konopiane postronki; powinny być nieugięte, jak stalowe druty.

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

Minęło niespełna lat dwa.

Hrabia powrócił do dawnego trybu życia, a jakkolwiek od ślubu Ludwika względnie dużo już wody upłynęło, jeszcze żywo stawały mu w pamięci niemiłe przejścia z owych czasów.

I w mieszkaniu pana Artura nic się nie zmieniło. Wizerunek ciotki wisiał na głównej ścianie w gabinecie i przyglądał się hrabiemu z melancholijnym, dobrym uśmiechem, jakby opiekunka jego dziękowała mu za spełnienie swej woli. Bo wszak wywiązał się z przyrzeczenia, danego umierającej. Wszak jej nie mogło chodzić właściwie o nic więcej, tylko, aby jej Ludwik został mężem kochającej i dobrej kobiety.

Ze sprawami majątkowemi można było jeszcze trochę czekać, bo potomek Czajskich dopiero był spodziewany. Hrabia ułożył jednak sobie, że jeśli Mariola będzie miała syna, w takim razie weźmie się zaraz do uporządkowania interesów; odłoży je zaś na czas jakiś, gdyby powiła córkę. Onwilami, po dobrym obiedzie, po dwóch kieliszkach *crême de menthe*, a trzech koniaku, uważał, że nawet byłoby lepiej, gdyby Ludwikostwo zaczęli od córki. Jeszcze bowiem za krótko korzystał z błogiego odpoczynku, jaki słusznie mu się należał po dokonaniu ważnego dzieła.

Prawie sam nie wierzył temu, że ożenił Ludwika. Ale tak było rzeczywiście. Plany jego uwieńczone zostały niespodziewanem powodzeniem. Ludwik kochał się teraz w Marioli, a ona kochała się naturalnie w Ludwiku. Widywał ich razem. Spędził u nich całe lato i zachwycał się panującą między nimi harmonią. Wprawdzie niekiedy zdarzały się małe poróżnienia. Wtedy apatyczny Ludwik sprawiał wrażenie podrażnionego byka, a Mariola lękliwej kotki. Sprzeczki te jednak, zamiast trwożyć, cieszyły owszem pana Artura.

— Kto się czubi, ten się lubi, — powtarzał Marioli, żalącej się nieraz przed nim na niejednostajny humor męża i często dziwaczne, bezzasadne, aż śmieszne jego pretensye.

Słowem hrabia zupełnie był zadowolniony. Mariola grała wcale dobrze rolę pani domu i magnatki, o czem niegdyś powątpiewał. Spoglądając w przyszłość, nie spostrzegał nigdzie ani jednej chmurki, któraby mogła tę pogodę nieco zakłócić, a tembardziej przynieść gwałtowną burzę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

siernych, dopuszczających się przestępstwa jałmużny. W 20.000 gmin francuskich nie ma sposobu wsparcia ubogiego bez przekroczenia ustaw!

W szpitalach również najrozmaitsze panują stosunki: inaczej traktowani są chorzy np. w Paryżu, gdzie natłok ich jest olbrzymi i przyjętym być niełatwo, jeśli nie ma się szczęścia cierpieć na interesującą jakąś dla lekarzy chorobę; inaczej w miastach niektórych na prowincyi, gdzie o dostateczną ilość chorych dla licznych szpitali tak trudno, że na ból głowy lub obstrukcyę leczyć człowieka gotowi dwa miesiące. A są też, jak zapewnia p. Brette, i szpitale takie, gdzie porządek panuje wzorowy, łóżka białe jak śnieg, nakryte pościelą; a gdy zjawi się chory, daje mu się kilkadziesiąt franków, by jechał leczyć się gdzieindziej, bo dla jednego nie warto zakłócać spokoju.

Broszura p. Brette zrobiła pewne wrażenie, gdyż pierwszy to raz wejrzał ktoś bliżej w oryginalne to zarządzanie funduszami ubogich. Niektórzy publicyści, z p. Clémenceau na czele, domagają się ankiety, ewentualnie upaństwowienia opieki nad ubogimi, by wstrzymać to gromadzenie się milionów i zirygować niemi raczej owe 20.000 gmin, żadnych biur dobroczynności nieposiadających. Ale daleko są to plany. Na razie zaznaczyć należy, że bogaty być musi kraj, w którym nikt nie zwraca uwagi na to, co się dzieje z dochodami 55 milionów rocznie.

Świat artystyczny przygotowuje wielką uroczystość z okazyi tysiącznego przedstawienia opery „Mignon". Kompozytor tej opery Ambroży Thomas ozdobiony ma być wielką wstęgą legii honorowej. Będzie to pierwszy kompozytor francuski, któremu taki zaszczyt dostaje się w udziale. Podobno minister oświaty Spuller zamierza także Verdiego po przedstawieniu „Falstaff" przedstawić do tej najwyższej dekoracyi.

Wystawa sztuki w Wiedniu.

Wiedeń w kwietniu.

Dla tych, co w ostatnich dwóch latach byli na wielkich międzynarodowych wystawach sztuki w Paryżu, Monachium i Berlinie, obecna wystawa wiedeńska bardzo mało nowego dać może. Czuć wyraźnie, że Wiedeń leży już na krańcach ruchu artystycznego zachodniej Europy, którego promienie dochodzą tu później, grzeją słabiej, a gasną już zupełnie trochę dalej na wschód — w Krakowie i w Peszcie.

Wiedeńscy artyści przeciętnie widzą i czują tak, jak inni czuli lat temu dziesięć, a nawet piętnaście.

Przyznać należy, że wiedeńska wystawa sztuki jest dobra, a jej największym przymiotem: że jest nie wielka, że można ją objąć i okiem i myślą, co było niemożliwe na innych powyżej wspomnianych wielkich wystawach, przygniatających widza swym ogromem.

Od lat paru ujawniło się wszędzie dążenie do wystaw mniejszych, wyborowych. Udało się to niedawno po raz pierwszy w nieartystycznym Sztutgardzie, gdzie tylko 500 obrazów wystawiono.

Wiedeń, dzięki swemu niewielkiemu Künstlerhausowi, broni się brakiem miejsca przeciwko dziełom wątpliwej wartości, nie może jednak nazwać swej wystawy teraźniejszej wyborową i długo jeszcze podobnej nie osiągnie.

Artyści zagraniczni, wogóle, niechętnie tu wystawiają, wiedząc, że w Wiedniu nie znajdą nabywców; przysyłają więc przeważnie utwory dawniejsze, niesprzedane gdzieindziej.

Dla świata wiedeńskiego dosyć dotąd: „wina, kobiety i śpiewu" vel muzyki, na obraz i rzeźbę jeszcze dlań za wcześnie.

Trzymając się porządku, wskazanego przez katalog, zacząć musimy od rzeźby.

Mieści się ona na dole, w środkowej halli pałacu, ciasnej i źle oświetlonej. Brak oddalenia.

Odrazu wpadają w oko dwie kolosalne z bronzu odlane postacie robotników broni palnej. Jest to dzieło najzdolniejszego wiedeńskiego rzeźbiarza Tilgnera, a zdobić będzie cokół pomnika Werndla w Styryi. Są to figury przedewszystkiem dekoracyjne, zamaszyste, pełne życia, ale manieryczne. Wśród licznych biustów królują dwa portrety męskie, także z bronzu, Rzymianina, Filipa Cifariello; dwie męskie głowy, o typach włoskich, zwykłych teraźniejszych, ale jakżeż one pojęte, jak mistrzowsko modelowane, a jak pysznie bronz preparowany! To najlepsze, co nam dała wystawa w rzeźbie.

Trzech znakomitych medalierów przysłało kolekcye medalów, A. Chaplain Roty i Ponnemaker z Paryża, oraz Scharff z Wiednia. Są to prace pierwszorzędne, wyobrażające prześliczne podobizny nam współczesnych znakomitości.

Też przy rzeźbie umieszczono obrazy belgijskie; jest ich bardzo mało i są tak powszednie, że nie zatrzymujemy się, idziemy do sąsiednich dwóch małych sal włoskich. Tutaj tak samo widać różne pozostałości po innych wystawach, w dodatku rozmieszczone niedbale.

Niemcy wystąpili licznie i dobrze; liczą aż 125-u wystawców. Najwięcej zwraca na siebie uwagę trzy portrety kobiece F. A. Kaulbacha. Osoba o ślicznej, eleganckiej figurze, z główką raczej tyrolsko-bawarską, niż arystokratyczną, — na tle pejzażu — przedstawia hrabinę T. D., damę wiedeńską.

Na drugim w pysznej ramie poznają wszyscy panią Z, też Wiedenkę — z plutokracyi. Całość przypomina nam portrety Van Dycka, tak rozłożeniem jasnych plam, jako i bladością ciała, czarnym atłasem, tonem tła itd.

Trzeci portret Kaulbacha trąci półświatkiem; największą jego zaletą jest to, że kolor czerwonej sukni, o bardzo szczęśliwym tonie, mile łechce oko i znakomicie koloruje główną ścianę wielkiej niemieckiej sali, podnosząc niezmiernie inne obrazy, w szarej lub zielonawej tonacyi trzymane.

Walther Firle z Monachium wystawił tryptyk, trzy obrazy równej wielkości, na temat trzech próśb, wyjętych z „Ojcze nasz." Jest to jedno z najpoważniejszych i najpoetyczniejszych dzieł na całej wystawie.

Drugi tryptyk berlińskiego malarza Dettmanna, zatytułowany: „Das deutsche Volkslied," ilustruje trzy pieśni ludowe: o przyjaźni, o miłości i pieśń o miłości ojczyzny.

Firle i Dettmann są realistami ostatniej daty. Wyrażając modlitwę i pieśń w obrazach rodzajowych, z życia dzisiejszego ludowego podpatrzonych, obadwaj ci wybitni malarze wiedzieli doskonale, gdzie się z tym dzisiejszym realizmem zatrzymać, co z natury wziąć w obraz, a co ominąć, przemilczeć.

Nazywa się to taktem artystycznym, który również jest niezbędny w sztuce, jak towarzyski takt w życiu.

W tworzeniu dzieł sztuki daleko ważniejszem jest pytanie: „Jak przedstawić" aniżeli: „Co przedstawić." Te dwa warunki, te dwa pytania, wspomniani obadwaj artyści bardzo szczęśliwie rozwiązali.

Alfred Kowalski, Fałat i Suchodolski Zdzisław wystawili tym razem w oddziale niemieckim swe obrazy, bardzo szczęśliwe i wybitne. Kowalski dał „Cietrzewie tokujące," motyw czysto myśliwski, pochwycony na polowaniu gdzieś w okolicach Monachium, na niezmiernych równinach, podobnych często do równin naszego kraju. Prawdziwie po mistrzowsku wyraził artysta-myśliwy chwilę, kiedy zmrok po nocy pogodnej przechodzi w blady, białawo-mglisty poranek słonecznego dnia.

Kapitalny gwasz Fałata przedstawia widok z paryskiej pracowni autora na cmentarz Montmartre. Tu znowu promienie zachodu ozłacają z wysoka widziane drzewa, pod których cieniem bieleją marmurowe grobowce. Jest to przepyszna notatka z natury, rzucona na papier z szaloną wprawą, ręką, co nie zna trudności.

Zdzisław Suchodolski, mieszkający obecnie w Monachium, należy do starszej generacyi malarzy, tworzy rzeczy poważne, alegoryczne lub religijne, wypowiada je po dawnemu, w tonach ciemnych, brunatnych, zawsze z głębszą myślą, sentymentem i smakiem.

Widziałem nieraz zagorzałych nowatorów-realistów, wpatrujących się długo w obrazy Suchodolskiego; mówili oni, i to szczerze, iż jest on dla nich jakby miłem wspomnieniem przeszłości, kiedy fotografia nie krępowała swobody malarza, nie skracała dziwacznie form, a źle pojęty impresyonizm nie ślepił i nie drażnił oka, zawsze temi samemi, tęczowemi, kredowej suchości tonami.

Suchodolski przysłał do Wiednia „Świętą Rodzinę", spoczywającą w stajence przy słabem świetle latarki. Obraz ten pojęty bardzo szlachetnie a prosto; nie ma w nim żadnych widocznych intencyi, ani kaprysów malarskich; chyba kto wrażliwy, odczuje tu może lekki oddźwięk starych mistrzów.

Z najwybitniejszych malarzy niemieckich doskonale są reprezentowani: Marz, Claus-Mayer, Bantzer, Echtler, Liebermann, Baisch, Holmberg, również i pejsażyści: Schönleber, von Canal, Bartels, Oswald i Andreas Achenbach.

Anglicy przysłali sporo, a w tem wiele dzieł nadzwyczaj wysokiej natury artystycznej. Koroną ich oddziału jest Almy-Tademy: „Fredegonda". W katalogu czytamy o niej: „Fredegonda († 594 roku) patrzy na zaślubiny swego małżonka Childeryka, króla Franków, z Galaswintą księżną Westgotów, przed którą musiała ustąpić, ponieważ nie pochodziła z krwi królewskiej".

Jest to niewątpliwie jedno z najdoskonalszych dzieł angielskiego mistrza, a pod wielu względami nie ma mu równego na całej wystawie. Znalazłszy się przed tym obrazem, zapominamy wkrótce o wrażeniach ostatniej minuty, o przeciwieństwach różnych dzisiejszych malarskich kierunków, które w każdej niemal sali Künstlerhausu walczą o panowanie nad innymi kierunkami. Gdy się patrzy na „Fredegondę", wszystko to znika; doznajemy tylko uczucia spokoju i zadowolenia, jak gdybyśmy przebyli strome skały i burze i wyszli ponad chmury, na najwyższy szczyt, oblany wiecznem światłem.

Alma-Tadema przedstawił nam obrażoną i zazdrosną kobietę, germańskiego typu, o złotawych włosach i złotawym tonie ciała, która siedzi przy niskiem romańskiem oknie, krępą kolumną przedzielonem, a uchyliwszy zasłony, patrzy z zawiścią na obrzęd ślubny swego byłego małżonka z inną kobietą, krwi królewskiej, może i młodszą. Od tej jasnowłosej postaci, odzianej z rzymska, w żółtawą jedwabną krepę, rozszedł się po całym obrazie ton ciepły, niezmiernie wytworny. Jedynym kolorystycznym akcentem jest tu blado-niebieska wstęga, wpleciona w długi warkocz nieszczęśliwej Fredegondy, oraz na stolik rzucony naszyjnik z turkusów, z którym łączy się sznur grubych paciorków z bursztynu a przy nim inne precyoza. Jest to znowu z wielkim gustem powtórzony kontrast kolorystyczny żółtego z niebieskim; wywołuje on w oku malarskiem niezmiernie miłe wrażenie.

Idźmy dalej. Obok Alma-Tademy świeci Herkomer, w obrazach swoich Anglik bardzo wysokiego lotu, z pochodzenia jednak Bawarczyk, rodem z Landsberga, malowniczej mieściny, zawieszonej nad stromym brzegiem Lechu.

I Alma-Tadema nie jest Anglikiem, lecz rodowitym Holendrem, w Londynie osiadłym.

Podziwiane wszędzie swe znakomite portrety zakasował Herkomer przepysznym pejzażem z kilkoma figurami, idącemi ulicą charakterystycznej wioski angielskiej, nad którą unosi się dziwnej piękności niebo pogodne. Jest to obraz niezmiernie silny w tonie.

Z angielskich pejzażów koniecznie podkreślić należy „Zachód słońca" A. K. Browna.

Na oddział hiszpański złożyli się głównie artyści hiszpańscy, zamieszkali w Rzymie. Ich najlepszym obrazem, a zarazem największym rozmiarami na całej wystawie, jest „Tryumf Dogaressy Foscari", malowany przez José Villegas. Widzimy tu bardzo żywo i w jaskrawych barwach odtworzoną Wenecyę z XV. wieku. Znakomity hiszpański malarz potrafił arcy-szczęśliwie skombinować realizm dzisiejszy z realizmem Carpaccia, tego zdumiewającego realisty staro-weneckiej szkoły.

Malarz, historyk i archeolog może się tu nacieszyć postaciami, ubiorami i szczegółami odległych czasów minionej na zawsze świetności Wenecyi, a znawca odnajdzie na tym wspaniałym obrazie niejeden portret z pałacu dożów i niejeden profil ze staro-włoskich medalów i monet.

Francya, pomimo, że wystawiła w Wiedniu oficyalnie i z inicyatywy swego rządu, ma jednak oddział bardzo słaby, składający się z dzieł drobnych, drugorzędnych i wcale nie nowych. Porównać ich nawet nie można z obrazami i rzeźbami francuskiemi, które widujemy w Monachium, gdzie Francuzi co roku wystawiają nieoficyalnie.

Katalog zawiera wprawdzie dużo imion pierwszorzędnych, są one jednak bardzo skromnie reprezentowane. Do najlepszych zaliczyć trzeba Jeana Béraud'a „Un Café-Concert", mały obrazek, ślicznie malowany, Eugène Bulant'a „Procesowicze", oraz doskonały pejzażyk przez Jean Zubera.

Holendrzy jak zawsze i wszędzie i na każdej wystawie, wyglądają dystyngownie, lecz szaro i monotonnie. Malują silnie i szeroko, tłusto, w tonach przyćmionych, wiecznie tych samych; myślećby można, iż wszyscy mają tylko jedną paletę, jeden pendzel, tak są do siebie podobni gustem, motywami i techniką. Malarze holenderscy robili dawniej za granicą duże wrażenie; teraz nudzą i publiczność i artystów, nie dodając w swych, zresztą doskonałych produkcyach ani jednej nowej nuty. Wymienię tu najgłośniejszych: Israëls, bracia Maris, Mesdag, Tholen, Courtens, w których ślady weszła cała dzisiejsza holenderska szkoła.

Rosya nie przyjęła wcale udziału w wystawie.

Austrya, jak już wzmiankowano powyżej, została w sztuce daleko za innymi krajami. Rzecz dziwna, że w utworach najwybitniejszych artystów wiedeńskich, chwalonych wszędzie lat temu piętnaście, nie czuć postępu, ani też najmniejszego wpływu nowych prądów artyzmu ogólno-europejskiego.

Z całego oddziału austryackiego jeden jedyny Józef Engelhart wybiegł naprzód, a obraz jego należy do najnowszej daty. Jest to studyum nagiej dziewczyny, stojącej w cieniu drzew, przez których liście przedarło się kilka promieni słońca, padając jasnemi płatkami na młodziuchne ciało, doskonale malowane.

Dziwić się tylko trzeba, że ten najlepszy w oddziale obraz komisya powiesiła w kącie malutkiego gabinetu, a jury wiedeńskie podobno zaledwie raczyło przyjąć go na wystawę.

Z naszych artystów w austryackim oddziale wystawili: Kazimierz Pochwalski dwa doskonałe portrety: margrabiego Wielopolskiego i ks. Alfreda Lichtensteina; panna Olga Boznańska, Krakowianka, zamieszkała w Monachium, portret męzki, bardzo nowocześnie malowany. Fałat dał „Polowanie na niedźwiedzia", Stachiewicz „Legendę o Matce Boskiej".

Do austryackiego przytyka oddział węgierski, ze wszystkich najgorzej urządzony. Obrazy węgierskie, w ogóle o mocno staromodnej powierzchowności, przez dziwnie nieumiejętne rozmieszczenie i zestawienie wydają się gorszymi, niż są naprawdę.

Amerykanie zajmują jedną niewielką salę; wieje tu mocno powietrze francuskie, przeważa wpływ Paryża, gdyż wystawili sami tylko artyści z kolonii amerykańsko-paryskiej, najsłynniejsi z nich: Bridgmun, Walter Gay, Weeks, Melchers, Courrier.

Na zakończenie przyznać należy, że wystawa obecna, jako całość artystyczna, wygląda malowniczo, elegancko, dobrze i cieszy się wielkiem powodzeniem. Publiczność wiedeńska zwiedza Künstlerhaus tak tłumnie, jak nigdy przedtem nie bywało.

Sprawy ruskie.

Temi dniami doniosło *Diło*, że p. Romańczuk wystąpił już oficyalnie z klubu ruskiego. O ile nam się wydaje z wiadomości podawanych przez *Diło* o obecnych pracach klubu ruskiego, to przez wystąpienie p. Romańczuka z klubu, klub ruski zupełnie nic nie stracił, gdyż posiedzenia odbywają się teraz bardzo często, czego za prezesostwa p. Romańczuka nie było.

Klub ruski nie ma więc czego żałować, a najwięcej może żałować chyba sam p. Romańczuk, który doznał już dwa razy specyalnej „szczerości" koalicyi słowiańskiej, a raczej młodoczechów. Oto p. Romańczuk zgłaszał się już dwa razy do głosu w parlamencie, raz przeciw funduszowi dyspozycyjnemu, a drugi raz przeciwko etatowi ministerstwa oświaty. Gdy na wniosek jednego z posłów zamknięto dyskusyę opozycya wybrała generalnym mówcą przy pierwszej okazyi młodoczecha, a obiecała głos p. Romańczukowi przy jednej z następnych pozycyi budżetowych. Jednak i drugim razem, chociaż Czesi aż zanadto mieli sposobność wygadać się w parlamencie, wybrano generalnym mówcą znowu Czecha. Tak, tak panie Romańczuku, koalicya słowiańska ładna jest... ale tylko z daleka.

KRONIKA.

Lwów 25 kwietnia.

Z Warszawy bardzo smutne nadchodzą wiadomości. Oto wszystkie osoby, zaaresztowane wskutek niedorzecznej manifestacyi z dnia 17 kwietnia, skazał sąd na deportacyę „do oddalonych gubernii caratu". Przez „oddalone gubernie" rozumie nomenklatura rządowa rosyjska gubernię wiatską, permską, orenburską, saratowską, samarską i astrachańską, a więc te gubernie, które leżą na krańcu Europy i stykają się z Azyą. Według praktyk sądowych rosyjskich deportacya taka pociąga za sobą zupełne wykolejenie młodych ludzi, a pamiętajmy, że według urzędowego doniesienia *Warsz. Dniewnika* było w liczbie paruset osób aresztowanych, stu kilkudziesięciu studentów. Otóż tych młodych ludzi uważać prawie można za straconych nietylko dla ojczyzny, ale nawet i dla ich własnych rodzin, bo barbarzyńskie przepisy moskiewskie zabraniają skazanym na deportacyę wstępować do jakiegokolwiekbądź zakładu naukowego. Nie skończywszy nauki, cóż ci młodzi ludzie będą w przyszłości robili? Będą chyba musieli objąć stanowiska znacznie niższe od tych, którym się zamierzali poświęcić wstępując na uniwersytet w Warszawie, więc np. prostych robotników, posługaczy etc. a i te posterunki z wielkim trudem zdobędą sobie, gdyż osoby skazane na deportacyę znajdują się już potem według obyczajów moskiewskich niemal całe życie pod nadzorem policyi i muszą co miesiąc stawać do kontroli policyjnej. A oczywiście osobom podejrzanym przez policyę niechętnie ludzie dają posady. Ciężko więc wobec ojczyzny zawinili ci, którzy pod pozorem rozbudzania ducha rozwijają w młodzieży żyłkę demonstracyjną i wpajają w nią niedorzeczne mniemanie, że przez robienie dziecinnych manifestacyi, przynosi się jakikolwiek pożytek ojczyźnie. Gdyby nie to mniemanie u młodzieży, toby manewr policyi rosyjskiej i bezimienna przez nią wydrukowana odezwa, wzywająca do demonstracyi w dniu 17 kwietnia, nie odniosła niezawodnie żadnego skutku.

W Czytelni katolickiej odbędzie się we czwartek 26go bm. pogadanka prof. Thulliego: „O sprawach bieżących".

Lokal wystawy sztuk pięknych zostaje z dniem dzisiejszym na dwa tygodnie zamknięty dla publiczności z powodu restauracyi sal wystawowych.

„Gazeta Lwowska" ogłasza publiczny konkurs na wykonanie warsztatów wozowych w Stryju. Oferty mają być wniesione najdalej do dnia 8 maja r. b. do godziny 12 w południe do protokołu podawczego c. k. dyrekcyi ruchu (dworzec Lwowsko-Czerniowiecki) we Lwowie.

Ślub. Ślub p Aleksandra Junoszy Podoskiego, urzędnika galic. Towarzystwa kredytow. ziemskiego, z panną Heleną Irmą Aulichówną, córką Janiny z Münichów i śp. Ernesta, c. k. starosty, odbędzie się dnia 28 kwietnia rb. w kościele OO. Bernardynów, o godzinie 7 wieczorem.

Konkursa. Rady szkolne okręgowe w Bóbrce i Przemyślanach rozpisały, pierwsza z terminem do 25 maja, druga z terminem do końca maja r. b. konkurs na kilkadziesiąt posad nauczycielskich. — W 5-klasowych szkołach męzkiej i żeńskiej w Bóbrce, są do obsadzenia 2 posady katechetów rz i gr. kat, z płacą roczną po 450 zlr. i dodatkiem na pomieszkanie. Podania do 25go maja rb. — W krajowej niższej szkole rolniczej w Kobiernicach, która ma na celu kształcenie przedewszystkiem synów włościańskich na zdolnych gospodarzy praktycznych, rozpoczyna się rok szkolny dnia 1 lipca rb. Podania o przyjęcie do szkoły należy wnieść do dnia 15go maja rb. do dyrekcyi szkoły w Kobiernicach, poczta Kęty.

Anarchiści w Londynie. Sąd londyński zajmuje się teraz sprawą anarchisty Ferrary, aresztowanego przedwczoraj. Ferrara czyli Ferandi, nazywający się także Carnotem, jest mężczyzną 45letnim, małej, niepokaźnej postaci. Aresztowano go w ten sposób, że dwaj ajenci policyjni weszli przez okno do jego mieszkania, gdzie miało schronienie także sześciu innych anarchistów, i tam go ujęli. Znaleziono przy nim numer włoskiego pisma *Il credo degli oppressi*, oraz kartę wizytową znanego anarchisty Poltiego. Aresztowany Ferrara miał zamiar zamordować inspektora policyi Melvilla za to, że ściga gorliwie anarchistów, tudzież podłożyć bombę w banku królewskim, ponieważ się tam zbiera wielu bogatych ludzi.

Z nad Dunajca nam piszą:

Rozeszła się tu bardzo pożądana wieść, że Niepokalanki z Jazłowca zamierzają w Galicyi zachodniej otworzyć trzeci swój dom. Dziś, kiedy w średnich domach obywatelskich wychowanie panienek w domu dla znacznych połączonych z tem kosztów staje się coraz trudniejszem, witamy z niekłamaną radością zakład, który już złożył dowody, że wychowania córek naszych na dobre żony i matki, w uczuciach wiary i miłości ojczyzny, dokonać umie; a że liczba panienek, potrzebujących starannego i na zasadach opartego wychowania, corocznie się wzmaga, przeto i utworzenie drugiej filii zakładu w okolicy Bochni lub Tarnowa jest wielce pożądanem, zwłaszcza że zakład ten zasilany będzie przez uczennice z Poznańskiego, Kongresówki i Litwy, co ma niezaprzeczenie tę dobrą stronę, że dzieci z rozmaitych okolic zaznajamiają się i tym sposobem przywracają tę łączność wspólnej przynależności, która ręką brutalną przed wiekiem zburzoną została.

Ani Benedyktynki w Stanisławowie, które głównie przyjmują panienki uboższe, ani Urszulanki w Tarnowie, które więcej mają zgłoszeń, aniżeli mogą przyjąć, nie zaspokajają w zupełności potrzeby wychowania, że tak powiem, domowego... poza domem. Szerokie więc i wdzięczne tu jest pole dla zakładu Niepokalanek, który oby jak najprędzej osiedlił się w naszych stronach!

W poczet członków Towarzystwa właścicieli realności wpisani pp.: Saul Birnbaum kupiec, Józef Boberski obywatel, Włodzimierz Czarnecki kupiec, Karol Dużycki urzędnik banku, Alfred Dzikowski kupiec i radny miasta, Aleksander Getritz introligator i radny miasta, Andrzej Gołąb budowniczy i radny miasta, Samuel Hus kupiec, Antoni Ilmann emer. urzędnik kolejowy, Józef Jägermann profesor, Wilhelm Jarolim rzeźnik, Jan Kiwała szewc, Emanuel Majer piekarz, dr. Henryk Max adwokat, Abraham Mor blacharz, Jakób Maszler obywatel, Dawid Maszler obywatel, Józef Rozwadowski obywatel, Hi-

---

77)

WOJCIECH DZIEDUSZYCKI.

ŚWIĘTY PTAK

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy).

— Żądasz dowodu prawdy objawienia naszego? O dowód nietrudno. Masz go na każdym kroku. Na podstawie starodawnych i świętych wierzeń wyrósł Egipt, spotężniał, zakwitł, a skoro nieszczęsny Amenhotep IV usiłował, nie bez pomocy waszej rodziny, zastąpić starą prawdę nowym jakimś wymysłem, spadła nawała klęsk na ten kraj nieszczęśliwy. I ta nauka nie wystarczyła jeszcze dla was. Z uporem opłakanym oddajecie los tylu prawowiernych Egipcyan w ręce wzgardziciela bogów, Hebrajczyka. Zdaje się wam, że okazujecie tem rozum wyższy, wolny od przesądów i sprawiedliwość nieskazitelną. A oto patrz, Ozortazenie! Kiedyś się otrząsł z lenistwa, które ciebie znamionuje równo z twoim bratem, kiedyś wejrzał w szczegóły gospodarstwa, przekonałeś się, że przesądni ludzie mieli słuszność. Wiesz już o niejednej szkodzie, którą wam ten człowiek wyrządził; oby się na tem skończyło, obyście gorszych klęsk nie sprowadzili na dom wasz, przez owo zaślepienie, które wam każe bardziej ufać własnemu zdaniu, jak zdaniu wszystkich.

— Daruj, Har-Menke! ale powtarzasz pospolite kapłańskie nauki, których się nasłuchałem do przesytu, a które nie mogły nigdy we mnie wiary wzbudzić. Łatwo zaprzeczyć każdemu twojemu słowu. Powiadasz, że usiłowania reformy Amenhotepa sprowadziły ostatnią przemijającą burzę, która przeszumiała po nad Egiptem? A czyż nie wiesz o tem, że pasterze spadli przed wiekami na bogobojny zupełnie Egipt i kraj ten spustoszyli, ujarzmili, skazali na długowieczne poniżenie? Czyż nie wiesz o tem, że są niezliczeni szafarze Egipcyanie, którzy nadużywają swojej władzy zupełnie tak samo, jak ten Hebrajczyk? A potem nazywasz wiarę Egipcyan prawdą znaną przez wszystkich, którą przeciwstawiasz zdaniu niektórych. Czyż tak możesz mówić szczerze? Czyż nie wiesz o tem, że tylko Egipcyanie wierzą w objawienie Egipcyan, że ogromna większość rodzaju ludzkiego czci inne bogi i uznaje inne dogmata i że kapłani innych narodów są tak samo przekonani o prawdzie swoich ksiąg świętych, jak ty o nieomylności twojego objawienia światła? Przecież owi Hebrajczycy, za których namową Amenhotep powstał przeciw obrzędom naszych ojców, Hebrajczycy, z których narodu wyszedł ów Abibaal, na którym przyznaję, że się zawiodłem, twierdzą stanowczo o sobie, że sami jedni posiadają niekłamaną znajomość bóstwa i że sami jedni przechowali pamięć pierwotnych dziejów świata, a odrzucają ze wzgardą wasze podania, jako zbiór bałamutnych wymysłów ludzkich.

Har-Menke niebyłby zapewne został dłużen odpowiedzi, ale sługa przerwał w tej chwili rozmowę, przynosząc list, który doszedł jego rąk pocztą gołębią. Ptak wyprawiony z Teb z rozkazu Hanny, przeleciał za kilka godzin przestrzeń dzielącą stolicę od zacisznego dworu Amenemhy i przyniósł list zaadresowany do szlachetnego Ozortazena, księcia ze Sni, potężnego władcy, ulubieńca bogów. Ozortazen przełamał pieczęć i czytając pismo bratowej pobladł śmiertelnie.

— Cóż ci jest, Ozortazenie? — spytał się kapłan — masz jakie złe wiadomości z Teb? Czy może twój brat Amenemha jest chorym?

— W złą godzinę powiedziałeś, że Abibaal może jeszcze wielkie klęski sprowadzić na nasz dom — odrzekł Ozortazen, który pod wrażeniem odebranych wiadomości stracił zwyczajną roztropność — nie pytaj mnie się o to, co w liście stoi; przeczytaj raczej sam pismo Hanny.

Brat Amenemhy, wypowiedziawszy te słowa, podał kartkę papirusu kapłanowi, który z niemniejszem od Ozortazena zdziwieniem i z mało co mniejszem wzruszeniem przeczytał słowa, które tu w całości podamy:

„Przesławny Ozortazenie, bracie męża mojego, ulubieńcze bogów, drogi sercu Hanny, która ten list pisze! Tęsknię za tobą pośród stolicy i pragnęłabym być przy tobie, aby się ustnie moją troską podzielić z tobą. A troska ta jest wielka i przerażająca. Oto wiedz o tem, że Abibaal, szafarz nasz, doszedł do tego szału, iż pragnie Hesz-Akerę posiąść jako żonę. Wspomniał mi o tem jeszcze w Sni, ale ja udałam, że go nie rozumiem; odtąd nie ufałam już jemu, a teraz wiem, że gotuje w zapamiętałości swojej zuchwałe zbrodnie. Przez syna swojego Enocha i niewolnicę naszą Elpinoę podburza Hebrajczyków w mieście, Azów, Tyrzenów i Greków ze straży Faraonowej i namawia ich, aby odnowili nieszczęsną wojnę domową, która wyrządziła tyle spustoszenia i tyle nieszczęść. Nie czyni tego w nadziei, aby szalony bunt mógł mieć powodzenie, ale czyni na to jedynie, aby porwać moją córkę, wiem bowiem na pewne, że powstanie ma wybuchnąć w sam dzień wielkiego święta Amunowego i że ten człowiek potrafił wytłumaczyć uwiedzionym przez siebie, że powodzenie buntu będzie zależało od tego, czy im się uda zaraz na początku porwać Hesz-Akerę, co wydaje mu się rzeczą łatwą, skoro moja córka, ma odprawić samotną ofiarę w piramidach, w samą wilię wielkiego święta. Domyślam się, że posiadłszy moją córkę, zechce zapewnić dla siebie bezpieczeństwo, bogactwo i znaczenie, zdradzając spiskowców, na których czele stanął.

„Dowiedziawszy się o tem wszystkiem, nie mam chwili spokoju. Nie mogę o tem mówić Amenemże, bo wiesz, jak mnie słucha niechętnie, jak jest zaślepionym i słabym. Nie chcę o tem donosić ani kapłanom, ani Faraonowi, bo chciałabym zapobiedz rozlewowi krwi uwiedzionych i ukarać samego tylko głównego sprawcę zamierzonej zbrodni. A zdaje mi się, że łatwo będzie zapobiedz nieszczęściu.

„Znam Labana, Hebrajczyka, cieszącego się największą powagą u swoich, a zamieszkującego Sni. Ty go znasz także, wiesz, że jego słowa są wyrocznią dla jego narodu i że potępia wszelkie niespokojne myśli i czyny, że potępiał nawet usiłowania mojego ojca Efroima. Otóż błagam cię, powołaj go przed siebie i pokaż mu ten list, a to wystarczy. Laban pojedzie natychmiast do Teb i odwróci Hebrajczyków od zamierzonego szaleństwa. Nie oprą się jego głosowi i Abibaal stanie się niemocnym, a wiem, że Grecy nie ruszą się, jeźli ich Hebrajczycy odstąpią. Zrób to i napisz mi o tem, co Laban postanowił zrobić, abym mogła wedle tego pokierować mojemi zamiarami."

(Ciąg dalszy nastąpi).

polit Sawracki lakiernik, Karol Sklepiński aptekarz, Jan Śliwiński fabrykant organów, Jan Stenzel inspektor kolei żelaznej, Józef Szczerba stolarz, Malwina Szczepańska obywatelka, dr. Bazyli Szwedzicki adwokat, Jan Vogt emer. starosta, Stanisław Wojciechowski kupiec.

Pieszo do Antwerpii. Dziennikarz warszawski a znakomity piechur, p. Franciszek Reinstein, udał się tymi dniami w podróż pieszą z Warszawy do Antwerpii.

Sport pieszy, będący u nas jeszcze w uśpieniu, wymaga prócz przygotowania fizycznego także i odpowiednich przyborów podróżnych. P. Reinstein zaopatrzył się też we wszelkie możliwe przedmioty przydatne w tej odległej wyprawie, oczywiście z zastosowaniem minimalnej wagi. Tornister, zaopatrzony w najpotrzebniejszą bieliznę, apteczkę, podręczniki podróżne, album do zbierania poświadczeń pisemnych, drobne przybory toaletowe itp., waży ogółem 17 ft. Wagę w miarę pochodu podróżny zamierza jeszcze zmniejszyć przez odjęcie przedmiotów, które mogłyby się okazać mniej potrzebnymi. Na wierzchu tornistra znajdują się paski, w których umieszczono płaszcz gumowy z kapiszonem wagi $1^1/_4$ funta. Na obuwie, w podróży pieszej najważniejsze, zwrócił p. Reinstein szczególną uwagę, wedle wskazówek piechurów zagranicznych. Więc też prócz obuwia o podeszwach śrubowanych i dowolnie zmienianych pan R. zaopatrzył się w parę koturnów nadzwyczaj lekkich i przeznaczonych na drogę suchą. Niemniej praktycznie urządził się turysta pod względem pieniężnym, na wszystkie bowiem dniówki rozesłał pieniądze w drobnych kwotach, aby większej sumy pieniężnej nie mieć przy sobie.

Niebezpieczeństwa grożące lekarzom. Z Londynu piszą: Zawód lekarski ma w Anglii niezawodnie swoje słodycze — przedewszystkiem w wygórowanych honoraryach — lecz ma też niebezpieczeństwa całkiem osobliwe. Do takich należy bardzo częste pociąganie lekarzy przed trybunał rozwodowy.... w charakterze wspólników winy, czyli jak się to mówi: korespondentów! Właśnie w tych dniach rozpatrywał londyński sąd przysięgły sprawę następującą:

Zamożny farmer walijski, Gwynn, żądał rozwodu z młodą swoją żoną, opierając żądanie na... dobrowolnem przyznaniu się tejże żony do *flagrans delictum*, w którem „korespondentem" miał być wcale niemłody i szanowany lekarz, dr. Griffiths. Pani Gwynn zeznała przed sądem, że doktor nadużył dyskrecyi zawodowej, kiedy ona cierpiała na influenzę — że jednakże bardzo go polubiła, że on ją i ona jego nie inaczej nazywała, jak *my darling*, (mój najdroższy), że wreszcie od 19go do 23 maja r. z. zjechali się oboje w Londynie i tu oglądali ciekawości stołeczne... Małżonek ze swej strony zeznał, iż wpadło mu w ręce kilka liścików, pisanych przez żonę do doktora, a kompromitujących zakochaną parę w najwyższym stopniu — przywiódł nawet świadków, kucharki, służące i posługaczy kolejowych, stwierdzających, jako doktor przesiedział z panią tyle minut sam na sam w tym pokoju lub spotkał się z nią na dworcu i ztamtąd przeprowadził do hotelu — gdzie znów... itd. Prócz rozwodu, zażądał rozczarowany mężulek 3000 funtów odszkodowania od niepoczciwego „korespondenta". Rozprawy trwały dni dziewięć, biedny doktor w strasznych był opałach, ale przecież zdołał dowieść swego *alibi* między 19-tym a 23-cim maja, poczem już łatwiej przyszło mu oczyścić się z zarzutów i udowodnić, że wzorowa para małżonków ukartowała całą tę komedyę w celu wyzysku. Sąd więc rozwodu nie dał, a teraz prokurator królewski pozwał Gwynnów przed sąd kryminalny, oskarżając ich o krzywoprzysięstwo w zeznaniach.

Jaskółcza poczta. Bardzo jest możliwem, iż jaskółki wkrótce zastąpią gołębie w przenoszeniu listów. Pewnemu Amerykaninowi, po długich i mozolnych doświadczeniach, udało się jaskółki tak ułaskawić, że po wypuszczeniu w jakiemś oddalonem od swych gniazd miejscu, powracają w kilka godzin do swych gniazd. Lot jaskółek o wiele szybszym jest od lotu gołębi. Podczas prób, robionych w Ameryce, jedna jaskółka 150 mil angielskich przebyła w przeciągu półtorej godziny. Jaskółka jest o wiele mniejszą od gołębia, więc podczas wojny jako poseł z depeszami, łatwiej uchodzi uwadze żołnierzy, a nawet spostrzeżona, jako drobny ptaszek, chyżo lecący, nawet dla najlepszego strzelca bardzo zły cel przedstawia i prawie niemożliwem jest ją trafić. Wszystko to przemawia za używaniem do przenoszenia listów jaskółek a usunięciem od tych usług gołębi.

Nowy rodzaj balonów. Z Antwerpii piszą:

Przed kilku dniami zaproszono przedstawicieli prasy do parku wystawy w celu zwiedzenia *balon dirigeable*. Inżynierowie przedsiębiorcy dawali zwiedzającym nader interesujące objaśnienia co do systemu balonu, oraz jego zastosowania. W łódce balonu umieszczona śruba, na wzór śruby używanej przy parowcach, służyć będzie zarazem za ster. Śruba wprowadzaną będzie w ruch przez motor elektryczny w formie wózka, umieszczonego na drutach przymocowanych do słupów 30metrowych. Balon będzie więc zmuszony do posuwania się drogą nakreśloną przez druty i słupy. Na przestrzeni 42 km między Antwerpią a Brukselą wystarczy 30 drutów, przestrzeń tę przebędzie balon w niespełna godzinę, co równa się szybkości pociągu pospiesznego. Jeżeli doświadczenie się powiedzie, wówczas kosztowne zakładanie szyn, procedura wywłaszczania gruntów, niwelacye, budowanie mostów i tuneli stanie się zbytecznem. Słupy wszędzie tanim kosztem można ustawiać, a balon z równą łatwością góry i doliny przebywać będzie. Balon w pięknym koszu, urządzonym z przepychem, pomieści 25 do 30 osób. Dziś już na pierwszą przejażdżkę zapisywać się można.

Polak na Sumatrze. Pan Gustaw Szymkajło, emigrant z r. 1863, rodem z Litwy, po ukończeniu politechniki w Zurychu w r. 1873, pracował jakiś czas w Węgrzech przy budowie kolei z Pesztu do Zemunia, a gdy kolej tę wybudowano w 1880 roku i p. Szymkajle pięknie podziękowano za pracę, wówczas widząc jak coraz trudniej o chleb w Europie, wybrał się p. Szymkajło na Sumatrę do swego kolegi z Zurychu p. Władysława Nowińskiego, który zarządzał tam wielką plantacyą tytoniu, należącą do innego emigranta, p. Michalskiego. Niedawno p. Szymkajło napisał list do jednego ze swych znajomych, a z listu tego dowiadujemy się kilka dalszych szczegółów o pobycie naszego rodaka na tej oddalonej wyspie. Po 45 dniach dość przyjemnej podróży przybył p. Szymkajło na Sumatrę, a przyjęty gościnnie przez rodzinę Nowińskiego, postanowił pozostać na tej wyspie.

W parę lat potem Władysław Nowiński życie zakończył, mianowicie w d. 18 sierpnia 1884 roku, na wysepce Poel Penang, gdzie też złożono zwłoki na wieczny spoczynek. Owocem kilkunastoletniej pracy na obczyźnie była suma 8000 dolarów meksykańskich, które dostały się w spadku drugiej żonie Nowińskiego i dzieciom z pierwszego małżeństwa. W chwili śmierci Nowińskiego plantacya, którą zarządzał, była już własnością Anglika Douglasa. Właściciel zatrzymał p. Szymkajłę u siebie, tak, iż rodak nasz na nowem stanowisku przebył lat sześć. Następnie plantacya przeszła w ręce stowarzyszenia angielskiego, które zarządzającym mianowało Anglika ze swego ramienia; p. Szymkajło tedy założył własną plantacyę tytoniu, która mu idzie bardzo dobrze. P. Szymkajło wybiera się w lipcu lub sierpniu r. b. do Europy, mianowicie do Amsterdamu, Rotterdamu, Bremy, Hamburga i Londynu w celu znalezienia spólników z kapitałem na rozszerzenie plantacyi, a nawet z zamiarem utworzenia Towarzystwa akcyjnego.

Mały kapitał ginie w przedsiębiorstwach tytoniowych lub pieprzowych na Sumatrze, znaczny jednak wkład bardzo wielkie przynieść może zyski. Potrzeba zaś kapitału znaczniejszego na Sumatrze jest konieczną z tego głównie względu, iż krajowcy niechętnie wchodzą w stosunki z białymi. Plantatorowie więc zmuszeni są do sprowadzania robotników z Chin, lub Jawy, co powiększa ogromnie koszta nakładowe eksploatacyi.

Szczupłe ramy listu nie pozwoliły p. Sz. rozszerzać się o Sumatrze. Nie mniej list zawiera kilka charakterystycznych szczegółów. Sumatra formalnie tylko zależną jest od Holandyi, gdyż władza holenderska sięga tak daleko od wybrzeży, jak daleko niosą kule z karabinów holenderskich. W pośrodku lądu Sumatra jest najzupełniej niezależną. W górach mieszkają ludy niemal dzikie, o sześć dni podróży od Langkatu, przy stacyi pocztowej Tandjok Poera, miejsca zamieszkania p. Szymkajły, znajdzie pono i ludożerców. Pomimo to, pisze pan Szymkajło, jest tu spokojniej i bezpieczniej, niż nocą na ulicach Berlina. Domy po wsiach budowane są bez użycia jednego gwoździa, nie mają drzwi ani okien, o zamkach i zasuwach nikt tam nie ma pojęcia. W miasteczkach rzecz ma się nieco inaczej. Znajdzie tu i domy, na sposób europejski budowane, t. j. z drzwiami i oknami, zamykanemi o tyle, o ile.

W dzikie i drapieżne zwierzęta obfituje Sumatra: żyje tam w stanie dzikim tygrys królewski, lampart, niedźwiedź, słoń, nosorożec jednorożny i dwurożny; wężów wielkich jest bez liku, krokodyli również, a pomimo to p. Szymkajło od dziesięciu lat, tj. od czasu, jak mieszka na wyspie nie słyszał, aby zwierzęta te i płazy napadały na mieszkańców.

Polaków na Sumatrze jest bardzo mało, ci zaś którzy tam przebywają, mieszkają od siebie tak daleko, iż żadnych stosunków towarzyskich z sobą utrzymać nie mogą. P. Szymkajło wspomina o p. Rochu Łopacińskim, bracie inżyniera z Grecyi. P. Łopaciński mieszka w Palembang Sumatra przez Singapore, czyli o 2,778 klm. od Langkate, miejsca zamieszkania p. Szymkajły.

Nie brak mogił polskich na Sumatrze, nie brak i na obczyźnie grobów ludzi, którzy całe życie na tej wyspie holenderskiej spędzili. Na samej Sumatrze mogiła kryje zwłoki ś. p. Czarnkowskiego, w Penang leży Władysław Nowiński. Michalski i jego wspólnik Czarnomski złożyli kości w Szwajcaryi po żywocie, pracowicie na Sumatrze spędzonym.

W gabinecie znachora. Jedno z pism warszawskich opowiada, co następuje: — W ubogich dzielnicach Warszawy praktykuje już od lat kilku domorodny lekarz, cieszący się wśród pospólstwa nawet pewną sławą. Jegomość ten sprzedaje chorym lekarstwa, przez siebie samego wyrobione.

Oto słowo w słowo autentyczna konsultacya, podsłuchana w „gabinecie" znachora:

— A co panu jest?

Pacyent opowiada swoje dolegliwości, przyczem indywiduum powtarza co chwila:

— Tak, rozumiem.

Następnie, wysłuchawszy spowiedzi pacyenta:

— Widzi pan — rzecze — doktorzy, to się na tem nie znają, chociaż wprawdzie czasami to i pomagają. Na ten przykład teraz leczę jednego kasyera. Godny człowiek! Rozmaici doktorzy *jego* leczyli i nic nie pomogli, mówiąc, że to zastarzały romatyzm. Obejrzałem *jego*. Biedaczek *cale* chodzić nie mógł: nogi pokulone. Temczasem to nie żaden romatyzm, *a tylko byli* suchoty. Jak się *wzienem* do niego, to już będzie zdrów w niedzielę i nie nadziękuje mi się. Dawałem mu wino z oliwą do picia, piersi zajodynowałem i obłożyłem *doktorską* watą. A te krople, co mu doktorzy przepisali, obejrzałem i odsunąłem, bo na nic się nie *zdali*.. i teraz zdrów...

Po zyskaniu sobie w ten sposób zaufania pacyenta, znachor konkluduje:

— A pańską chorobę wyleczę za dwa tygodnie. Będzie, jak ręką odjął.

— Co się będzie należało za kuracyę?

— Iii — brzmi odpowiedź — zostawiam do godnego uznania. Temczasem proszę o rubelka, to jutro dam lekarstwo.

A gdy pacyent zabie a się już do wyjścia, indywiduum dorzuca:

— Dziś wieczorem wymoczy pan nogi w *końskich nogach*.

Podobno w poczekalni znachora nigdy na pacyentach nie zbywa.

Wesoła zabawa.

— Pani musi się straszliwie nudzić w tym kącie deskami zabitym? Brak wszelkich przyjemności rozrywek...

— O, miewamy i rozrywki. W zeszłym miesiącu naprzykład mieliśmy zaćmienie księżyca...

Literatura i Sztuka.

* **„Instructions** aux filles domestiques et a tous les domestiques en général p. l'abbé Busson, 3-e éd., revue et augmentée. Paris. Gaume, 1893". Ksiądz Busson, jeden z najwybitniejszych kapłanów paryskich za czasów Restauracyi, kapelan Karola X-go, a nawet przejściowo minister wyznań, poświęciwszy się w późniejszym wieku wyłącznie sprawom miłosierdzia i ojcowskiej opiece nad biednymi, powziął myśl założenia stowarzyszenia służących chrześcijańskich, a pragnąc do tego przygotować umysły, wydał pod powyższym tytułem książkę, która obecnie wyszła już w trzeciem wydaniu. Autor, w sposób przystępny i porywający, rozbiera najpierw naturę stosunków domowych i rodzinnych, następnie zaś wyłuszcza obowiązki służących względem Pana Boga, względem panów, względem innych służących i siebie samych, a kończy szeregiem praktycznych rad i wskazówek, popartych przykładami z życia świętych, którzy jak św. Dula i św. Zita w tym skromnym zawodzie zdobyły koronę świętości. Pragnęlibyśmy, aby książka ta, odznaczająca się wielkiemi zaletami, znalazła tłómacza.

Rozmaitości.

— **Rzeczpospolita San Marino.** Od dnia 20 września 1870, t. j. od chwili, gdy wojska włoskie wkroczyły do Rzymu, przywykliśmy but włoski uważać za całość polityczną. Zapomina się, iż w samem niemal sercu Włoch pomiędzy 12° długości wschodniej a 44° północnej szerokości leży republika San Marino. Ta drobna rzeczpospolita istnieje już od czwartego wieku po Chrystusie i przez ten długi przeciąg czasu swego istnienia umiała się oprzeć wszystkim burzom i kataklizmom politycznym. Były nawet czasy, gdy zbrojne napady na San Marino obracały się w niwecz dzięki bohaterskiemu oporowi ze strony liliputowego państwa.

Obszar rzeczypospolitej wynoszący 59 kw. km. mieści wedle spisu z roku 1880, 8598 dusz. San Marino dzieli się na dwie główne gminy i siedm pobocznych. Zwykły budżet preliminowany jest na 145,000 franków, nadzwyczajne dochody nie przekraczają nigdy cyfry 80,000 fr. rocznie. W głównej państwowej kasie leży 300.000 fr. jako fundusz zapasowy, długów rzeczpospolita nie ma żadnych.

Ustawodawcze ciało składa się z 60 wybranych obywateli. Na czele zarządu stoją dwaj wybrani prezydenci, którzy po upływie swego urzędowania przez trzy po sobie następujące lata nie mogą być na nowo wybranymi. Nie rządzą jednak wspólnie, lecz każdy przez sześć miesięcy. Czas urzędowania rozpoczyna się 1 kwietnia i 1 października każdego roku. Prezydentom przysługuje tytuł kapitanów. Ministrów liczy San Marino pięciu, a mianowicie: ministra spraw zewnętrznych i finansów, spraw wewnętrznych, oświaty, milicyi i sprawiedliwości. Milicyi podlega także departament pospolitego ruszenia.

Minister sprawiedliwości jest zarazem sędzią pokoju i sędzią śledczym w sprawach karnych. Jurysdykcya dzieli się na trzy instancye. Trybunał pierwszej instancyi składa się z jednego tylko sędziego. Tę samą liczbę sędziów posiada sąd apelacyjny. O wiele silniej reprezentowanym jest natomiast sąd kassacyjny, albowiem składa się z sędziego-kanclerza jako przewodniczącego i 12 przysięgłych. Ułaskawień nie znają prawa rzeczypospolitej wcale.

Poczta jest złączona z telegrafem i liczy w ogóle trzech urzędników: dyrektora i 2 manipulacyjnych urzędników. Stacya telegraficzna jest ograniczoną. Państwowe archiwum posiada bardzo ważne dokumenta, które sięgają wstecz aż do 6-tego wieku po Chrystusie. Księgami gruntowemi i muzeum, połączonem z biblioteką rządową zajmuje się jeden urzędnik. Dyrektor liceum jest zarazem ministrem oświaty.

Na czele duchowieństwa świeckiego składającego się z 2 księży, stoi dziekan. W przeciwieństwie do Włoch, gdzie zniesiono wszystkie klasztory a mnichów i mniszki wypędzono, cieszą się w San Marino zakony wielkiem poważaniem. W stolicy republiki są klasztory Franciszkanów, Kapucynów i Klarysek, które zajmują się wychowaniem dziewcząt. Cała rzeczpospolita San Marino dzieli się na 7 gmin a 8 parafii. Szkół normalnych jest 7. Zakładów finansowych i dobroczynnych liczy republika trzy a mianowicie: kasa oszczędności, dom ubogich i zakład sierót.

Nad spokojem i porządkiem w państwie czuwa policya i korpus żandarmeryi, na czele których stoi porucznik. Komendy wojskowe są w każdej gminie. Ziemia rodzi wino i zboże. Chów bydła i fabrykacya serów stoi bardzo wysoko. W St. Anastasio tryskają uzdrawiające mineralne źródła. Najbliższą stacyą kolejową włoską jest Rimini, oddalone od stolicy o 17 klm. San Marino zawarło z Włochami konwencyę pocztową. Z państw zagranicznych jedne tylko Włochy utrzymują konsulat.

Na chwałę tej drobnej rzeczypospolitej, której historyi dotychczas nie mamy, bo gdzieżby się historyk takim drobiazgiem zajmował, dodać należy, że zachowała nienaruszoną swoją autonomię przez czternaście wieków i przetrwała, spokojna i poważna tyle burz, które obaliły dziesiątki mocarstwa. Ani wojny, ani żadnych zdobyczy, ani rewolucyi nie zaznaczyły jej roczniki. Podziwiać należy, że wśród kapitanów San Marino, nie znalazł się żaden, któryby chciał obalić konstytucyę państwową.

Dodać należy jeszcze jeden szczegół, który to mikroskopowe państewko charakteryzuje: oto gdy w końcu zeszłego wieku Bonaparte, zostawszy panem Włoch, ofiarował rzeczypospolitej San Marino powiększenie terytoryum, kapitan rejent Onofrio odrzucił propozycyę zbogacenia się cudzym kosztem i wyrzekł pamiętne słowa: „w małości wolność!". Jest to więc państewko interesujące i zasługuje na to, aby się ktoś niem zajął. A jednak nawet konkurs na napisanie historyi San Marino spełzł na niczem. *E. J.*

— **Król Behanzin** Pewna Angielka widziała ujętego w niewolę króla Dahomeju, Behanzina i opisuje odwiedziny swe u zdetronizowanego syna Gle-Gle. Behanzin, który umie tylko dwa słowa po francusku: „Bonjour" i „Ami", wyszedł na jej spotkanie w otoczeniu swoich pięciu małżonek i młodziutkiego syna. Przybrany był w płaszcz czarny jedwabny, w niebieskie pasy; miał na bosych nogach sandały; szedł z gołą głową i palił krótką, srebrną fajeczkę. Władzca murzyński po raz pierwszy w życiu widział kobietę białą; musiała zapewne zrobić na nim miłe wrażenie, bo męża jej poklepał po ramieniu z uśmiechem, jak gdyby chciał powiedzieć: „Szczęśliwy z ciebie człowiek". Z pięciu żon Behanzina, jedna stara, bezzębna, zajmuje się przygotowywaniem mu posiłku; najmłodsza, ulubienica, opasana była białym szalem, omotanym trocinami, które służą królowi jako spluwaczka. Behanzin ma lat 55, włosy zupełnie białe, chodzić nie umie, bo go dotychczas noszono. Musi się jednak nauczyć tej sztuki, gdyż nie dostarczają mu tragarzy.

— **Banki w Babilonie i Niniwie.** Bankierzy, oraz kantory bankierskie istniały już w głębokiej starożytności. Świadczą o tem odkrycia archeologiczne, poczynione w Mezopotamii, mianowicie tabliczki z wyrytemi na nich ostrem narzędziem napisami. Te ostatnie dostarczyły archeologom nowego materyału do utworzenia sobie obrazu życia i zwyczajów mieszkańców Babilonu i Niniwy, z przed 700 i więcej lat przed Narodzeniem Jezusa Chrystusa. Niektóre z tych tabliczek, jak wnosić należy z napisów znajdujących się na nich, przedstawiały coś w rodzaju rewersów, przekazów, obligacyi, a nawet czeków. Z tychże tabliczek można wnioskować, że Babilon i Niniwa były potężnemi ogniskami handlowemi, w których dokonywano znacznych operacyi, opierających się przeważnie na kredycie prywatnym i że na 600 lat przed Nar. Jezusa istniał w Babilonie wielki bank państwowy.

— **Drzewa dające mleko.** Wkrótce nie będziemy potrzebowali wcale krów. Zamiast nich, należy sadzić w ogrodach *Brosimum Galactrodendron*, drzewo pochodzące z Wenezueli i gór Curiaco w południowej Ameryce. Drzewo to dosięga 15 do 30 30 metrów wysokości i wydziela sok podobny do mleka. W nowym świecie istnieje pięć gatunków drzew, dostarczających sok mleczny bardzo przyjemny w smaku, w obfitości nie mniejszej niż otrzymujemy od krowy. Ze wszystkich gatunków drzewo wymienione powyżej jest najmlezniejsze. Mleko otrzymuje się przez nacięcie kory; smakiem przypomina ocukrzoną śmietankę i jest bardzo pożywne. Skład mleka roślinnego zbliża się bardzo do mleka krowiego, lecz ilość substancyi jest w niem dwa razy większa niż w mleku krowiem. Jest więc podobniejsze do śmietanki, niż do zwyczajnego mleka. W kraju, w którym te drzewa rosną, krajowcy co rano przybywają do nich zaopatrywać się w mleko.

Sport.

Wyścigi wiosenne w Wiedniu.

Dzień pierwszy, 15 kwietnia. Jedynym znaczniejszym tego dnia biegiem był Handicap „Przedświta", nagroda 10.000 koron zwycięzcy, 1600 koron drugiemu, 400 koron trzeciemu koniowi; meta 1200 metrów. Z 47 koni zapisanych stanęło do walki 12, a byłoby ich zapewne więcej, gdyby skutkiem posuchy stwardniały tor nie był niebezpiecznym dla biegunów. G. br. Springera ogier gniady 4letni „Or vert" po Bend-Or od Vertumna (56 kilogramów) 1, A. Pechego ogier gniady 3letni „Demetrius" (44.5 kilogr.) 2.

Dzień drugi, 17 kwietnia. Znaczniejsze biegi były dwa, a mianowicie: „Nagroda Prateru" 4000 koron zwycięzcy, 800 koron drugiemu koniowi, meta 1800 m. Z 13 koni mianowanych biegały 4. W. hr. Forgacha klacz kasztanowata 4letnia „Szelvesz" po Beauminecie od Windfall 1, E. hr. Bathyanyego ogier gniady 4letni „Gourmand" 2. Totalizator płacił 32 zł. za 5. „Pancake Handicap", nagroda 4000 koron zwycięzcy, 800 koron drugiemu koniowi, dla koni trzyletnich; meta 1200. Z 34 koni zapisanych biegało 12 F. Scazighiny ogier kasztanowaty „Puchner" po Zsupanie od Sugar-plum (50.5 kilogr.) 1, G. hr. Andrassego ogier kasztanowaty „Mailberger" (53 kilogramów) 2. Totalizator płacił 53 zł. za 5.

Wyniki obu tych biegów były niespodziankami, zwłaszcza pierwszego, w którym „Szelvesz" pobiła „Gourmanda". W zeszłym roku biegała ona 13 razy, wygrała 6 razy, razem 15.195 zł., zaś „Gourmand" biegał 8 razy, a wygrał 3 razy, ale pomiędzy jego wygranemi było Derby austryackie i cyfra ogólna jego wygranych wynosiła 60.900 zł.

Tego samego dnia w pierwszym biegu nagroda 2000 koron zwycięzcy, 800 koron drugiemu koniowi, meta 2000 m. F. Scazighiny klacz gniada 4letnia „Volosca" była drugą, zwycięzcą był M. Szemeryego ogier gniady 4letni „Zenit" po Arcadianie od Sugarplum, biegało koni 7.

* * *

Sławne na świat cały stado królowej angielskiej w Hamton Court ma być rozprzedane. Wyprzedaż ta będzie niezawodnie sensacyjnym wypadkiem bieżącego roku w świecie sportu, a w każdym razie ciężkim ciosem dla chowu koni czystej krwi w Anglii, bo rozprószy się drogocenny materyał do chowu, skrzętnie gromadzony w tem stadzie od kilkuset lat istniejącem.

* * *

C. k. austryackie ministerstwo rolnictwa mianowało komisyę, której zadaniem jest corocznie w jesieni przedstawiać spis stadników czystej krwi, które uważa za zdolne i pożądane do chowu, a równocześnie szacować je, aby rząd mógł w ten sposób wyrobić sobie pogląd na materyał do chowu, który jest do nabycia. Do komisyi tej, składającej się z trzech członków, mianowanymi zostali pp.: baron Aehrenthal, A. Baltazzi i Artur hr. Potocki.

Część ekonomiczna.

Wiedeń 23 kwietnia.

(Z). Nawet w pełni sezonu letniego nie ma nieraz takiego zastoju, jaki obecnie panuje na naszej giełdzie. Godziny wloką się leniwo, a na palcach wyliczyć można, ile transakcyi dokonano. W ubiegłym tygodniu narzekano na brak deszczów i tem w znacznej części tłumaczono brak ożywienia na targu, obecnie spadły rzęsiste deszcze w całej monarchii i zasiewy wszędzie się poprawiły, giełda jednak ignoruje ten fakt. Sytuacya obecna potrwa jeszcze zapewne dość długo, aż wyklarują się stosunki na giełdzie berlińskiej, z którą nasz targ obecnie stracił prawie wszelki kontakt, stosunki zaś w Berlinie ułożą się dopiero w maju, gdy pokaże się, jakie skutki wywrze nowa ustawa o podatku giełdowym.

Zamięszanie w Berlinie jest tak wielkie, że niektórzy finansiści obawiają się nawet o losy jutrzejszej emisyi 160 milionów marek renty państwowej. Paryż tymczasem tryumfuje, pożyczka bowiem miejska Paryża pokrytą została nie 60 ale 85 razy. 200 milionów chce pożyczyć Paryż, a kapitaliści ofiarowali mu 17 miliardów, a same zaliczki złożone gotówką przez subskrybentów tytułem kaucyi wynoszą prawie miliard. Kto subskrybował nowych walorów za 170.000, ten dostanie ich tylko za 2000. Różnice kursowe są dziś bardzo nieznaczne, gdyż i do zniżki nie było żadnego racyonalnego motywu. Jedynym walorem, który cieszył się jakim takim popytem, były losy tureckie.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 353·—, węgierskie 423·25, Anglobanki 150·75, Uniony 257·75, Bankvereiny 125·25, Länderbanki 249·—, Ludwiki 216·—, Czerniowieckie 281.50, Elbethale 262·75, Renta papierowa 98·40, srebrna 98·30, austryacka złota 119·60, 4% austr. renta wal. kor. 97·75, węgierska złota 118·65, 4% węgierska renta wal. kor. 95·10, dukat 5·89—, 20-frankówka 9·93—, marki 12·22, ruble $1·33^3/_4$.

§ **Przegląd targu zbożowego.** (Sprawozdanie banku rolniczego). Lwów 25 kwietnia.

Z powodu świąt żydowskich stagnacya. Usposobienie co do spirytusu lepsze.

Dziś notujemy za 100 kilogramów loco Lwów: Pszenica gotowa 6·— do 7·50, Żyto gotowe 5·— do 5·75, Owies obroczny 6·10 do 6·50, Jęczmień 5.— do 6·25, Rzepak —·— do —·—, Groch 6 — 10·—, Wyka 7.— do 8·50, Bobik 5·50 do 5·80, Hreczka 7 — do 7·50, Kukurudza (stara) 5·10 do 6·—, Kukurudza (nowa) 0·00 do 0.00, Chmiel za 56 kilo 75.— do 85·—, Koniczyna czerwona —·— do —·—, Koniczyna biała —·— do —·—, Koniczyna szwedzka —·— do —·—, Spirytus 10.000 litr. proc. loco stacye kolei 14·75 do 15·25, Lnianka 0·00 do 0·00, Anyż —·— do —·—, Siemię konopne 0·00 do 0·00, Tymotka —·— do —·—.

§ **Z wiedeńskiego targu bydła.** Na poniedziałkowy targ przypędzono 5275 sztuk bydła, a w tej liczbie z Galicyi 634 sztuk opasowych i 94 chudych. Nie sprzedano 188 sztuk.

Płacono: galicyjskie 50 do 62·00 zł., węgierskie 50—63·00 zł., z innych krajów koronnych 50 do 66·00 zł., krowy 23—30·00 zł., za 100 kilo żywej wagi.

Bydło chude od 16 do 83·— zł. za sztukę.

Telegramy „Przeglądu".

Peszt 25 kwietnia. Sejm węgierski na wczorajszem posiedzeniu przyjął traktat handlowy z Hiszpanią i rozpoczął debatę nad traktatem z Rumunią.

Następnie odpowiedział prezes ministrów Wekerle na interpelacyę Horvatha w sprawie niedzielnych excesów robotniczych w Vasarhely. P. Wekerle oświadczył, że rząd bacznem okiem śledzi ruch socyalistyczny i zamianował specyalnie w tym celu komisarza rządowego, który ma zwracać baczną uwagę na wszystkie objawy tego ruchu. Bezpośrednim powodem niedzielnych excesów było utworzenie się tajnego przez władzę niezatwierdzonego związku socyalistycznego. Minister zaznacza, że rozruchy te były dopiero pierwszemi objawami złego, które głęboko już zapuściło korzenie. Akcya rządu obraca się zarówno w ekonomicznym, jak i administracyjnym kierunku. Ażeby rozdzielić w odpowiednim stosunku siły robotnicze, stworzono ustawę kolonizacyjną, która przeprowadzana jest na większą skalę aniżeli gdziekolwiek indziej. Minister rolnictwa zestawił statystykę wszystkich sił roboczych na Węgrzech i chciał je użyć do budowli kolejowych i do regulacyi rzek, jednakże z miast, gdzie właśnie najsilniej objawia się ruch socyalistyczny tylko bardzo mało robotników zgłasza się do tych robót.

Odpowiedź tę ministra przyjęto do wiadomości.

Berlin 25 kwietnia Sejm pruski 230 głosami przeciw 109 przyjął paragraf 1szy rządowego projektu ustawy o utworzeniu izb rolniczych.

Peszt 25 kwietnia. Policya uwięziła tu bandę fałszerzy banknotów i zabrała rozmaite narzędzia do fabrykacyi banknotów i rysunki.

Neapol 25 kwietnia. Arcyksiężna wdowa Stefania przybyła tu wczoraj.

Wiedeń 25 kwietnia. Wczoraj, jako w czterdziestą rocznicę zaślubin Cesarstwa, odbyły się uroczyste nabożeństwa zarówno tutaj jak w Peszcie i innych większych miastach.

Wiedeń 25 kwietnia. *Wiener Zeitung* ogłasza nominacyę kandydata nauczycielskiego na uniwersytecie kijowskim Gruszewskiego zwyczajnym profesorem historyi ruskiej na wszechnicy lwowskiej.

Fremdenblatt oświadcza, że doniesienia niektórych pism, iż sesyę delegacyi naznaczono na koniec maja, są bezpodstawne. Terminu zwołania delegacyi wcale jeszcze nie oznaczono, gdyż zależy on od tego, jak długo potrwają obrady parlamentów w Wiedniu i Peszcie, co nie da się jeszcze przewidzieć.

Książe bułgarski Ferdynand odjechał dziś rano do Sofii

Abbazya 25 kwietnia. Cesarzowa niemiecka z dziećmi odjeżdża stąd w piątek rano.

Wiedeń 35 kwietnia. Na dzisiejszem posiedzeniu Rady państwa rząd przedłożył projekt ustawy upoważniającej go do zbudowania gmachów na pomieszczenie poczty i telegrafu w Bielsku i w Samborze.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Podziękowanie. W smutku pogrążona rodzina śp. Heleny z Szybińskich Budzynowskiej, zmarłej w Samborze dnia 18go b. m., składa niniejszem najserdeczniejsze publiczne podziękowanie Przewielebnemu świeckiemu, tak miejscowemu jak i zamiejscowemu Duchowieństwu obu obrządków, Przewielebnemu Konwentowi OO. Bernardynów, P. T. Radnym i Urzędnikom magistratu, P. T. Urzędnikom państwowym wszelkich dykasteryj, Korpusowi P. T. Oficerów garnizonu samborskiego, P. T. Obywatelstwu ziemskiemu, Szanownym Przedmieszczanom i całej wielce Szanownej Publiczności za tak liczny udział w smutnym dla nas obrzędzie pogrzebowym i okazanie nam tak szczerego współczucia i żalu za przedwcześnie zgasłą.

W szczególności dziękujemy najserdeczniej Przewielebnemu Księdzu Prałatowi Janowi Dornwaldowi, oraz Wielmożnemu Panu Bronisławowi Bukietyńskiemu, Zastępcy burmistrza, za tyle dowodów Ich życzliwość i przyjaźni w nieszczęściu, którem Opatrzność ciętko nas dotknęła.

Dr. Ignacy Budzynowski, mąż, Paulina Szybińska, matka, Władysław, Kazimierz i Marja Szybińscy, rodzeństwo.

Lwów dnia 25 kwietnia. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·— do 218·—. Kolej Lwow.-Czern. Jassko po 200 zł. w. 279.— do 282·—. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a. 410· do —·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat. 101· — do 101·70, 5% z 10% prem. 109·80 do 110·50, 4½% los. w 50 lat. 100·— do 100·70. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·50 do 101.20. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·30 do 98.—. Tow. kredyt. gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·10 do 98·80. 4% los. w 41½ lat. 98.10 do 98·80, 4% los. w 56 latach 98— do 98·70. 4½% los. w 52 lat. —·— do —.—.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 97· — do 97.70. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·30 do 103·— Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·30 do 103·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·—, 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 96·80 do 97·50 4% z roku 1893 96·80 do 97·50.

Monety. Dukat cesarski 5·86 do 5·96 Napoleondor 9·87 do 9·97. Półimperyał 10·10 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33·— do 1.35·— 100 marek niemieckich 60·85 do 61·35.

42)

KRÓLOWA ZŁOTA.

POWIEŚĆ

PAWŁA d'AIGREMONT.

(Ciąg dalszy).

Wtem zaanonsowano jednego z policyantów, który poprzedniego wieczora był dyżurnym na ulicy Clignancourt.

— Co masz do powiedzenia? — zapytał p. Gervais.

— Około wpół do dziewiątej widziałem pana Roberta, rzeźbiarza, idącego ulicą. Znam go, gdyż od dawna mieszka w tej dzielnicy. Był bardzo zamyślony i szedł prędko. Przywitałem go, ale on, tak zawsze przystępny, nie odrzekł mi nic i pobiegł jeszcze prędzej.

— I nie wydało ci się to dziwne?

— Na razie nie, ale po chwili pomyślałem: gdybym nie znał go dobrze i nie wiedział, że jest człowiekiem uczciwym, to mógłbym przypuszczać, że popełnił coś złego.

Potem lokator z trzeciego piętra zeznał, że spotkał Roberta schodzącego po schodach przed północą, że był on bardzo blady i spostrzegłszy go, nasunął kapelusz na oczy.

Sprawa stawała się jasną. Widocznie Robert pomiędzy godziną jedenastą i dwunastą zamordował Teresę, skradł list rekomendowany, zawierający prawdopodobnie weksel, poczem nocnym pociągiem odjechał do Anglii.

— Wyślę depeszę do Dieppe, Hawru, Boulogne i Calais, lecz przedewszystkiem do Londynu — myślał pan Gervais — a współcześnie potrzeba posłać ajentów na dworzec kolei żelaznych, by dowiedzieli się, czy nie zauważono młodego człowieka, podobnego do Roberta.

Wziął kapelusz i pragnąc sam wykonać co postanowił, opuścił mieszkanie. Ale przybywszy na czwarte piętro spotkał powoli idącego na górę sędziego śledczego, pana de Combremont.

— Jestem szczęśliwy — rzekł, podając mu rękę — że pana wyznaczono do tej sprawy.

— Dla czego, czy to rzecz ważna? Sądząc z tego, co mi pisał komisarz policyi, myślałem, że to zabójstwo zwykłe.

— Przeciwnie, sprawa bardzo ważna... Zbrodnia ta ma pewną stronę tajemniczą, która mnie przestrasza i szczegóły, zbijające mnie z tropu. Naprzód ofiara jest nieznaną. Widocznie jakaś kobieta wykolejona, której rzeczywistego nazwiska nikt nie zna.

— Młoda?

— Bardzo młoda i bardzo piękna.

— Samotna?

— Mąż przed dwoma laty wyjechał do Ameryki.

— A ona co przez ten czas robiła?

— Była robotnicą w drukarni.

— Kto podejrzany o zbrodnię?

— Rzeźbiarz, człowiek młody, przyjaciel męża i jej.

— Dla czego miałby ją zabić?

— Dla skradzenia otrzymanego wczoraj wieczorem listu rekomendowanego.

— Na jaką sumę?

— Niewiadomo.

— Rzeźbiarz ujęty?

— Znikł. W mieszkaniu jego nie nie znaleziono. Opuścił pracę wczoraj wieczorem i oświadczył, że przyjdzie dziś rano. Jeden z policyantów spotkał go uciekającego przed północą, prawdopodobnie więc po spełnieniu zbrodni.

— Dobrze! Może pan będzie łaskaw udać się ze mną na górę.

Doktór Prunier, właściciel domu i inni rozeszli się się już i w mieszkaniu pozostał był tylko komisarz policyi.

Pan Gervais wprowadził sędziego naprzód do saloniku Teresy, ale zanim otworzył usta, by udzielić mu wyjaśnień, wstrzymał się, zdziwiony niezmierną zmianą twarzy pana de Combremont i wzrokiem, utkwionym w biust stojący na kominku.

Biust ten wykuty był w marmurze i wyobrażał Andreja. Podobieństwo było tak uderzające, że kto choć raz widział inżyniera, nie mógł mieć żadnej wątpliwości.

Pan Combremont znał dobrze tego, który zabrał mu jego szczęście.

— Ten biust tutaj? — szepnął, zachwiawszy się na nogach.

Poczem zwróciwszy się do komisarza policyi, zdławionym głosem zapytał:

— Gdzież jest zabita?

Wskazano na otwarte drzwi. Wszedł przez nie z takim wyrazem twarzy, że nikt nie śmiał pójść za nim.

Lecz w tejże chwili usłyszano krzyk i upadek jakiegoś ciała.

Mauryce de Combremont zemdlał, w zabitej bowiem poznał Teresę de Rochebelle, jedyny przedmiot miłości w swem życiu.

XVII.

Zmarła czy żyjąca.

Morskie powietrze, nasycone zapachem róż i heliotropów, wpada przez otwarte okno saloniku, w którym Helena i Sybila siedzące z robótkami w rękach, rozmawiają z sobą.

Hrabia ma się lepiej. Jak powiedział doktór Désormeaux, czyste powietrze Normandyi wzmocniło jego siły i choć nie powróciło mu zdrowia, odroczyło katastrofę przynajmniej na czas jakiś.

Za to hrabina przez ostatnie dwa dni była cierpiąca; szczelnie zamknięta w swym pokoju, nie pokazywała się nikomu, i teraz, o godzinie czwartej po południu nie opuściła jeszcze swego apartamentu.

Ale Helena i Sybila nie troszczyły się o nią i czy była zdrową czy chorą, nie zachodziły nigdy do jej pokoju i nie dowiadywały się o zdrowie.

Wszedł lokaj i na srebrnej tacy podał Helenie otrzymany z poczty list.

Helena poznawszy pismo pani Jacobsen, otworzyła go natychmiast i przeczytawszy pośpiesznie, zawołała uradowana:

— Wiesz Sybilo, moja matka chrzestna zawiadamia mnie, że Andrzejowi powodzi się doskonale, że przysłał jej dwieście tysięcy franków i że przy tej samej sposobności i Teresa musiała otrzymać takąż sumę.

— Ale dla czego twoja siostra nie nie pisze? — ze zdziwieniem zapytała Sybila.

— Rzeczywiście — odrzekła Helena zaniepokojona — dla czego dziś zwłaszcza nie ma od niej listu po tak ważnym wypadku? Czyżby była chora?

Sybila zaczęła ją uspakajać.

— Bah! — rzekła — Teresa musiała być tak zajęta formalnościami przy odbiorze tak znacznej sumy, że nie miała jeszcze czasu napisać.

— Mówisz to dla tego, aby mnie uspokoić, ale sama wiesz dobrze, że Teresa nie mogła zapomnieć o nas. Od trzech już dni, ani od niej ani od Roberta nie miałyśmy wiadomości.

Powstała.

— Dokąd chcesz iść?

— Zaniosę depeszę na stacyę. Mam jakieś przeczucie, że albo Teresie albo Robertowi, a może obojgu grozi niebezpieczeństwo. Chodź ze mną Sybilo. Zaczekamy na odpowiedź na stacyi, a jeżeli na nieszczęście stała się jaka katastrofa, jak mi mówi przeczucie, w takim razie dziś jeszcze pojedziemy do Paryża.

Helena mówiąc to, była bladą, a oczy jej żarzyły się jak węgle.

Pośpiesznie włożyły kapelusze na głowy i wyszły.

Gdy przebyły park i zbliżyły się do wsi, mijający je kilkonastoletni chłopak z gazetami zwrócił się do nich:

— Może panie kupią dziennik? Są otrzymane dziś przez telegraf szczegóły zbrodni przy ulicy Clignancourt.

Pod Heleną zachwiały się nogi. Ale Sybila, która rzadko traciła przytomność umysłu, wzięła numer dziennika, zapłaciła i ująwszy Helenę pod ramię, rzekła:

— Chodź!... nie czyńmy z siebie widowiska.

Zawróciły i weszły do lasku ciągnącego się wzdłuż drogi. Sybila wybrała miejsce ustronne, zakryte krzakami i przekonawszy się, że ich tu nikt nie zobaczy, podała dziennik Helenie.

Ta pochwyciła go gorączkowo i przeczytawszy wypisany wielkiemi literami tytuł wiadomości: „Zabójstwo przy ulicy Clignancourt“ — i następnie spostrzegłszy nazwisko „pani André“, zawołała z rozpaczą:

— Ach! mówiłam ci: Teresa nie żyje!

Miss Andrew chciała wziąć dziennik, by przeczytać szczegóły, lecz Helena nie dała go. Pomimo rozpaczy jedna myśl wracała jej ciągle do głowy. Co stało się z Robertem? Czy i on nie żyje?

Zdawało się jej instynktownie, że cios, który ugodził jej siostrę, nie ominął i Roberta.

Ale nie miała już siły utrzymać się na nogach i usiadła na trawie.

— Boże mój! — jęknęła — ja chyba zwaryuję... a jednak muszę wiedzieć wszystko!

Wzięła dziennik znowu i przeczytała wiadomość dwa razy, jak gdyby nie rozumiała znaczenia słów.

Nakoniec powstała blada, wyprostowana, straszna.

— Sybilo — rzekła — to rzecz straszniejsza niż myślałam. Teresa nie żyje i o zamordowanie jej oskarżają Roberta! Boże mój! — dodała — więc chyba wszyscy jesteśmy przeklęci!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: *Ludwik Masłowski.* Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca W. Hodak.